

MAGDALENA SAMOZWANIEC

NA USTACH GRZECHU

Data wydania: 1979

SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI.	2
Rozdział pierwszy	5
Rozdział drugi	11
Rozdział trzeci	16
Rozdział czwarty	22
Rozdział piąty	28
Rozdział szósty	34
Rozdział siódmy.	40

Rozdział ósmy	50
Rozdział dziewiąty	55
Rozdział dziesiąty	61
Rozdział jedenasty	69
Rozdział dwunasty	74
Rozdział trzynasty	80
Rozdział czternasty	86
Rozdział piętnasty	92
Kręgowata — Jak by napisała powieść współczesną Helena Mniszek	104
Posłowie	108

*Moim niedoścignionym ideałom:
autorce Trędowatej,
autorowi Szalonej Sielanki,
autorce Paniątka i autorce Horyniec*

Rozdział pierwszy

Słońce zachodziło niespokojnie tego wieczora, śląc ostatnie spojrzenie swych promieni na stary bór litewski, który tonął cały w odblaskach mgły złocistej, silnej, wciągając w siebie jej bezmiar tęsknoty wprost dziewiczej.

Cisza była, tylko gdzieniegdzie, jak echo dnia, który gdzieś uleciał (w powietrze niebytu), odzywały się jeszcze szmery pokrzykujących pastuchów i pędzonego na majdany bydła. Ptaki jednak milczały, chcąc widocznie uszanować tę ciszę, w której Febus na złotym rydwaniu pośpiesza w zaświaty.

Wtem zapłakał na gościńcu tętent bułana, który przemienił się wkrótce w wał kurzu. Spoza niego wykwitła niebawem młoda kobieta, uganiająca en carrièe wraz z wierzchowcem błękitnej krwi arabskiej. Kłusowała dzielnie, odskakując jak piłka od siodła i zdzierając raz po raz zwycięsko głowę bułanka. Słomiany cylinderek ze strusim piórem osunął jej się w pędzie aż na kark. Falująca aksamitna amazonka okrążała zad dobrotliwego zwierzęcia, ukazując dyskretnie rąbek koronkowej halki. Rusałczany woal obłoczył się nad głowami obojga. Włosy jej w jeździe szumiały. Siedziała wygodnie jak w krześle, giętkie, młode piersi usunąwszy ku tyłowi. W jednej ręce igrała cugłami, w drugiej trzymała ledwo rozkwitłą różę, którą opędzała się od zapachu końskiego. — Dzięki Ci, Stwórco, że jestem młodą i piękną kobietą — szepnęła, po czym wytoczyła okrągłe, bujne biodro naprzód i przygarnęła je jakimś dziewiczym, wstydliwym ruchem białą ręką ku siodłu. Patrzyła dużymi dziecięcymi oczami, w których bujał błękit czerwieniejącego nieba, gdzieś w dal nieznaną.

— Witam panią w Dobrojewie! — odezwał się tuż koło niej jakiś cichy, wrzący, męski głos.

Obróciła twarz półobrotem w stronę, z której głos dochodził, i oczy jej nieufne natknęły się niespodziewanie na piękną pieszą postać młodego rasowego człowieka w strzeleckim przebraniu sportowym, którego twarz ostrzyła się szatańskim uśmiechem, a oczy, czarne jak noc poślubna, patrzyły na nią z jakąś wyzywającą słodyczą mężczyzny, który jest pewien swej zdobyczy, zaś spod małej sportowej czapeczki wyglądał jego młodociany wąs koloru lnu.

— Przestraszyłeś mnie pan! — rzekła odważnie, osadziwszy zdumionego bułana na zadzie i potrząsając złotą grzywą.

— Czy tak? — odparł nieznajomy, puszczając niedbale fynfę dymu z cygaretki. — A zatem pozwoli piękna amazonka, że jej się przedstawię: Jestem hrabia Kotwicz — którego sobie pani zapewne przypominasz z dawnych, starych lat dzieciennych. Pani pojechała het!... na filozofię, ja bujałem po świecie. . . I oto teraz tak niespodziewanie. . . O, cieszy mnie to spotkanie. A panią, panno Steńko?

Stefania zapłonila się aż po białka, a nawet żółtka swych oczu.

— Nie tak gwałtownie, hrabio! — rzekła hardo — to dziwi, boli i drażni. Ja z panem hrabią rozmawiać nie mogę, pan masz dziwny sposób patrzenia na kobiety. Ja się pana

oczu boję, zawsze ich się bałam. . . ale a propos — zaczęła mówić o czym innym z tym taktem wrodzonym osobom wyższego tonu — czy matka pańska, hrabina Kotwicz, jest w domu, to jest, czy wróciła już z Karlsbadu, gdzie z takim oddaniem i zaparciem się siebie pielęgnowała swą biedną chorą nogę?

— Dziękuję w imieniu hrabiny za pamięć o jej w rzeczy samej zreumatyzowanej nodze — uśmiechnął się Kotwicz blado. — Właśnie od niej wracam, ma się już o wiele lepiej. Ale. . . ale. . . Panno Steńko, maleńka uwaga, tylko proszę się tak na mnie nieładnie nie patrzeć. Czy ja taki brzydki? Czy ja zbój? — żartował, z fantazją nasuwając czapkę na bakier, a spojrzawszy na już weselej nadąsany buziak dziewczęcia, ciągnął dalej: — Otóż czy pani wiesz, że znajdujesz się w tej chwili w obrębie mego państwa, a zatem mogę z panią zrobić, co mi się podoba. . . O, nie myślałem, że sławny Nemrod da mi dziś sposób zdobycia zwierzyny tak rzadkiej i drogocennej!

Piękna twarz Steńki skurczyła się jak do skoku.

— Zdobyczą pana nie jestem i nie będę — syknęła — a jeżeli chcesz pan zdobywać w tak ubliżający sposób samotną kobietę z porządnego domu, to idź pan lepiej do swoich dziewcząt wiejskich. Tam będziesz hrabia lepiej przyjęty. . . Żegnaj pana —

dowodziła przez zęby, jak zraniony w serce tygrys. Chciała podciąć bułanka szpicrutą i ruszyć z miejsca szalonym kurcgalopem, ale hrabia Zenon chwycił konia mocno przy pysku za cugle i wżarłszy się w nią szponami swych kuszących, czarnych źrenic rzekł ze stłumionym zręcznie skowytom:

— Nie odjedziesz, nie, nie puszcę cię, jedyna, o choćbym miał zginać trupem i cały paść martwy pod twe kolana. Ja cię pragnę i pożądam! — krzyczał martwo, po czym puścił nagle cugle i zdarł ją jakimś nieludzkim wysiłkiem z końskiego siodła. Ale ona wyrwała mu się obcesem z ramion i ruchem młodocianego kota śmignęła mu przez twarz ze szczególnie drwiącym chichotem ostrą jak stal szpicrutą.

— Czy tak? — uśmiechnął się drwiąco Zenon, ścierając ręką drżącą z nadmiaru wrażeń czerwoną pręgę z czoła. — Gdybyś była pani mężczyzną, wyzwiałbym cię natychmiast, ale tak mogę cię tylko jeszcze więcej kochać. O, jakże piękną i godną miłości jesteś pani z tym straszliwym, a ponętym tygrysem w twarzy!

Ale ona już nie słyszała, blada jak chusta do nosa, przycięła konia prętem i poszybowała na przełaj przez pola i jary i tylko z daleka dobiegł ją jeszcze szczęk jakiegoś piekielnego chichotu.

I znów spokojną przyrodę obiegła pajęcza nić cichoty, urozmaicona tętentem bułanków polnych. I tylko jako jedyny oddźwięk życia przeleciała przez morze nieba bieluchna chmurka pędzonego w niebyt obłoku.

Rozdział drugi

Miesiąc przeleciał chyżo od czasu, jak Steńka widziała hrabiego Zenona, miesiąc od owej pamiątkowej chwili w lesie dobrojewskim. Dziwna i niepojęta zmiana stała się w niej od tej chwili. Ona, wesele całego domu, „Słoneczko”, jak ją dowcipnie przezywał ojciec, stała się dla rodziny obojętną, nieuchwytną, jak jakaś nieodpowiednia zagadka. Co w niej sprawiło tę zmianę, nie wiedziała sama. Snuła się jak cień filigranowy dawnego słońca po ciemnych, starych komnatach dworku doryckiego, jak głos mogilny puszczyka, jak bielmo własnej prababki.

Nieraz o zachodzie miesiąca stawała w oknie, podając białe ciało zimnym uściskom nocy, w białym gieźle i złotym diademie włosów na czubku głowy. Czasem, bywało, uśmiechała się z nagłą, klasnęła w dłonie i biegła do matki pokoju, gdzie pod łóżkiem stała zakuta skrzynia z kosztownościami rodu. Wtedy zza piersi wyciągała maleńki kluczyczek i śmiejąc się cichutko jak dzwonek, stroiła się w nie do srebrnego miesiąca, czyli księżycy.

Tak! kochała! — Czuła to teraz wyraźnie, ale co kochała? Czy to życie swoje młode, a tak bujne, które oddech jej zapierało, gdy uganiała konno na Rodrygu przez pola i wąwozy? Czy ten ogród, dyszący pod czarną przeponą nocy? Czy swoje młode opałowe ciało o aksamitnym glansie? Czy może włosy swe przepaścisto-miedziano-płowe, które w przegubach i skrętach zawrotnych spływały jej wzdłuż stosu, zakrywając ją niby płaszczem z ognia — czy też? Czy też?... Nie! ona nie może, cóż znowu, przecież jest kobietą, a nie dzieckiem, żeby kochać mężczyznę, i to jeszcze hrabiego? — szaleństwo! Nigdy! przenigdy! Raczej spalić się ze wstydu, a potem rzucić się w lustrzaną taflę jeziora bładoniebieskiego w lila mgle nocnej — ach, umrzeć, i to raz na zawsze, by nie wstać więcej.

— Albo być uratowaną i wybawioną przez miłość Zenona — szeptał jej zły duch w usta.

— Precz, czarcie! — wołała żegnając się z nim znakiem krzyża. — Precz!

Nikt by w takich chwilach nie poznał tej dawnej Steńki, młodego żrebaka, uganiającego konno na Rodrygu przez padoły i kurhany leśne. Wyglądała teraz jak westalka, święta dziewica, pilnująca swego ognia namiętności, aby nie zgasł nadaremnie.

Pewnego wieczora, gdy tak stała, kąpiąc się w księżycu i we własnych myślach, drzwi skrzypnęły cichutko i do pokoju weszła pani Dorycka obarczona listem.

— Nie śpisz jeszcze, Steńku? A ot! dobra nowina dla mojego kociaka: wyobraź sobie, dziecko, co za honor nas spotyka. Hrabina Kotwicz ma zaszczyt zaprosić nas do siebie jutro na ogromne polowanie, które urządza z powodu bliskich zaręczyn swego jedynaka z baronówną Świdrypajło. Dziwię się nieco — trzepała skwapliwie — bo panna ani taka ładna, ani nazwisko nie takie piękne, tylko tyle, że straszna bogaczka, a dla tych magnatów pieniądz to czas, to nazwisko, to wszystko. Ale, Steńku — zatrzymała się nagle — co tobie, dziecko jedyne? Tyś blada jak ten księżyc zamglony za chmurami, ty mdlejesz! Jezu Chryste! Ja po doktora!...

Rzeczywiście, Stenia, blada jak gieźło, obsunęła się do kolan, jak gdyby ją ktoś nadłamał w połowie.

— To nic, mamó — szepnęła blado — to przejdzie; jutro, zobaczysz, będę zdrowa. . . jak. . . rydz — siliła się na żarty.

— Idź, dziecko, do łóżka — uspokajała rozdrażnioną matka. — Ty masz gorączkę; bylebyś mi tylko jutro była zdrowa, bo cóż by powiedziała hrabina, gdybyś nie mogła przyjść na jej zabawę. No, i hrabia Zenon, on się tak zawsze lubował w tobie.

— Zenon! — odparła jakimś nieswoim, jak gdyby nie z ust wychodzącym głosem Steńka i nagle, jak podcięty świeżo kwiat, zawadziła o podłogę i runęła zemdlona do stóp matki.

— Dziecko! Dziecko mi zabili! — jęknęła tępo pani Dorycka i mdlejącym krokiem pobiegła po starą niańkę Horpynę, która uwarzywszy jakichś przeklętych czarodziej-skich ziół nadeszła po chwili i swoją znachorską wiedzą doprowadziła wreszcie dziewczę do porządku dziennego. Długo jeszcze, już jak Stenia usnęła spokojnie, wierna sługa czuwała u jej łóżeczka, zawodząc z cicha starą kołysankę ruską:

Hej! hej! młodyciu ty hoża,
Luli, luli — piękna królewno!
Przyjdzie hrabia bogaty zza morza, hej!
Utuli, utuli na pewno, hej!

Rozdział trzeci

Polowanie w Dobrojewie byłoby udane, gdyby nie mnóstwo nieszczęśliwych wypadków ze zwierzyną. Trupy układano stosami lub wiązano po trzy sztuki razem. Królem zaś ogłoszono hrabiego Zenona, który wyglądał harmonijnie w zręcznym kapeluszu z zielonej alpaki, ozdobionym jelenimi różkami. Po uszach jego smagłych, które ciągle we właściwy sobie sposób nadstawiał, widać było, że czegoś nasłuchiwał.

— Nie wiesz, mamó — zwrócił się z zapytaniem do matki, słusznej damy pewnego wieku, po której znać było, że kiedyś była młoda — czemu Doryckich jeszcze nie widać? Jestem niespokojny, czy przyjadą.

— O, nie bój się znowu, cher — odpowiedziała hrabina — helas, to zaszczyt dla nich, upewniam cię.

— Maman zawsze, jak widzę, taka sama niepoprawna arystokratka. Teraz, mamó, są nowe prądy, nowe idee i ja jestem też ich zdania; kto wie, czy nie stanę się kiedyś bolszewikiem.

— Oczywiście stosując swoje zasady do mężów pięknych żon — zaśmiała się gorzko hrabina. — Jaki ojciec, taki syn! — rzuciła przed siebie z buntem, a oczy jej z niebieskich stały się dumne, nieubłagane.

— Matuś, ja proszę — rzekł Zenon nieco blady — zostaw umarłych, niech żyją w spokoju. — Mówiąc to, jak kociak przytulił się do matczynej piersi. — O matuś, ja tak pragnę słońca! miłości! ciepła!

— Oj! ty piecuchu — śmiała się hrabina, bawiąc się jego kędziorkami.

— Matuś — szepnęła nagle, chowając spłonioną twarz na jej gorsie. — Ja ją kocham! Ona piękna. . . dobra jak anioł, czysta jak zeszłoroczny śnieg; i ty ją pokochaj, i będzie nam dobrze razem. . . zobaczysz, mateczko!

— Synu, tyś oszalał! Co tobie! — wyrwała się z jego objęć hrabina. — Kogo mam pokochać? Ty bredzisz.

Zenon przesunął białą dłońią po czole.

— Ją, Steńkę Dorycką, gołąbkę... — dodał tkliwie.

— Mon cher — rzekła hrabina, prostując się, i lekki rumieniec musnął jej przebrzmiałą twarz — schowaj twoje niewczesne afekta i serce do kieszeni, teraz są ważniejsze sprawy na czasie... wczoraj właśnie oświadczyłam się za ciebie o rękę baronówny Świdrypajło i oczywiście zostałeś mile przyjęty. Podziękuj chociaż, niewdzięczniku, matce, która tak dba o twoje interesa sercowe. Panienska jest skromna, ułożona, ma serce na dłoni, a majątek w papie, cóż więcej chcieć. — Wczoraj... — pochyliła się do ucha Zenona — musiałam chłopom sprzedać sto mórg nierogacizny, jesteśmy zrujnowani! — Niedługo, mon cher, zabłyśniesz dziurami, a wtedy skąd weźmiesz pieniędzy na twoje hetmańskie wybryki i rasowy temperament?

— Nie, matko! — rzekł dumnie Zenon — dziury się po mnie nie pokażą! Ha! trudno, hrabio Zenonie, musisz się pan zaprzedać za pieniądze, cha! cha! cha!... Nie! albo

słuchaj, matko, to podłość! Czy ty wiesz — ścisnął jej rękę — co to jest zaprzedać się. Cha! cha! ty wiesz, tyś się sama zaprzedała memu ojcu za hrabiowską etykietę.

— Milcz! — wydarła ze spienionych warg hrabina — jeżeli nie chcesz, bym wyszła wobec ciebie ze złoconych ram mego dobrego wychowania. Och, Zeni — wybuchnęła nie kryjąc się ze łzami — jak ty mnie dręczysz! już czuję w głowie moje częste palpacje mózgu. Ale — dodała z nieokreślonym triumfem — nic już nie pomoże, Hannibal ante portas. Klamka zapadła.

— Ale ja i tak sobie podwoje życia mego otworzę na daleki, piękny świat — szepnął Zenon przed siebie i łzy bólu i poświęcenia stanęły mu w oczach, tak iż zamgliły mu wzrok, że nie zauważył, jak elegancki, szafranowym aksamitem wykładany feeton, zaprzężony w dwa złote bułanki o przepastnych zadach i rozburzonych ciemno lśniących grzywach, zatoczył krąg kolisty naokoło gazonu i stanął dumny, jak gladiator po zdobyciu Troi, przed gankiem pałacu dobrojewskiego. Zenon poczuł, jak mu serce odmówiło posłuszeństwa. — To ona — szepnęło po chwili.

Hrabia Zenon umiał panować nad sobą, zgrabnym ruchem otworzył drzwiczki pojazdu, lecz gdy poczuł drobną dłoń Steńki w swojej silnej garści, odgadł, że mdleje i że

rozkoszą nad wszystko większą byłoby zapłakać właśnie na jej dziewczęcym łonie nad swą niedolą zubożalego magnata.

— Witam panią! — szepnął ozieble.

— Jak się masz, hrabio — odparła Steńka swobodnie, wyskakując jak rybka ze swojego złotego rydwanu. Sama jak słońce ponętna i świeża w płaszczyku rdzawym z lekkiej popeliny, który uwydatniał jej kształty rodzaju żeńskiego. Do główki swej złotogniadej przypiętą miała maleńką marynarkę angielską z płowego kortu, spod której spływał kaskadami woal koloru zmierzchu ginącego w zamroce dnia. — Wszak można już panu złożyć życzenia? — spytała z uprzednim uśmiechem.

— Tak jest, pani! — rzekł niedbale Zenon, piękne jej kształty mierząc wprawnym okiem. A po chwili dodał jakby do siebie: — okrutna!...

Ale Steńka nie dosłyszała tego syknięcia podrażnionego serca; odwrócona doń bokiem, ukazywała mu tylko jeden profil o pojedynczych, a wykończonych formach, rozmawiając swobodnie z damami.

— Może panie pozwolą do swoich pokoi? — zapytała uprzejmie gospodyni. — O, ja rozumiem młodość — rzekła z miłym uśmiechem zwracając się do Steńki, która

zarumieniła się aż po same kolana pod zachwyconym ogniem strzelającym ze źrenic obecnych mężczyzn. — Młodość, która lubi się przyczesać, przewietrzyć, przygarnąć i przytulić, nim zasiądzie do wieczerzy. — Zeni, wskaż paniom drogę do górnego skrzydła, kamerdyner oświeci paniom tę ciemną przeprawę — dodała figlarnie.

Rozdział czwarty

Gdy panie Doryckie znalazły się w swoich szatniach, Steńka, tak jak stała w wyżej opisanej mantykę i kapeluszu, padła niby podcięta kłoda na puszyste posłanie możnego łoża, gdzie legła od stóp do głów. Wyglądała, jak gdyby całe życie spędziła na herbowym posłaniu. Tak! ona była godną zostać żoną hrabiego. Gdy znów podniosła powieki, wzrok jej padł na pęk szkarłatnych papierowych róż La France i garść boules de neige'ów, które ozdabiały piękny wazon z prawdziwego szafirowego szkła.

— To od niego — szepnął jej upadły anioł w serce.

— Mateczko! — rzekła bladym głosem, owijając gorącym spojrzeniem malowane na pułapie amory, tłuściutki jak pączki róż w maśle i w białe barokowymi kształty w wieńce z róż i niezabudek. — Jam znękana. O, chciałabym móc tak spać i spać, aż, aż... do przebudzenia... — dodała drgnąwszy nerwowo.

— Dziecko! co tobie w główce? Siano czy co? — przerwała jej pani Dorycka z wymijającym uśmiechem. — Toż zaraz zadzwonią na wieczerzę, a potem dziecinę moją otoczy rój utytułowanej młodzieży. Ręczę ci, że będziesz najpiękniejszą. Kto wie, może mogłabyś stanąć do zapasów nawet z piękną księżniczką Malską. Radzę ci, Steńko, byś miała w pogotowiu oko dla hrabiego Chłapskiego — rzekła nagle, zmieniając tok rozmowy. — Jest to człowiek wprawdzie niepierwszorzędnej młodości, niepiękny, ale tytułarny i ma rozległe dobra doczesne na Kaukazie, a to najważniejsze. Mówiła mi hrabina, że gdyśmy szły do naszych pokoi, ty już dawno byłaś za drzwiami, a on jeszcze od ciebie oderwać się nie był w stanie. I nie dziwię mu się; przepięknie ci było z tym wzruszeniem zmęczenia i z tym rumieńcem, który tak pięknie licował z twym obliczem.

— Mamo! — przerwała jej Steńka z niekłamanym rozdrażnieniem — ty wiesz, że ja się bez miłości nie sprzedam; nie znasz swojej Steńki, mamo!

— Uspokój się — mitygowała rozdrażnioną matka. — Fe! któż mówi zaraz o kupnie i sprzedaży. A teraz zamiast się dręczyć, co psuje nieco gustowną harmonię twej twarzyczki anioła, czas się rozebrać i ubrać. — Mówiąc to, pani Dorycka, musnąwszy zaledwie koniuszkiem warg chłodnego granatu jej ust, odeszła do swojej garderoby przebrać się i umyć na większe decolete.

Steńka przeciągnęła się z całej duszy na jedwabnych betach łoża jak młode, giętkie boa, wyprężając naprzód klasyczne jędrne piersi niby do ataku. Blade swe ramiona, cielistego koloru, zgięła wpool, patrząc z powściągliwym uśmiechem, jak pod światło bujna jej młoda krew wartko płynęła szerokim korytem wśród sieci krzyżujących się bladoliliowych arterii.

— Ha, młodości ty moja!... Pani ma! — szepnęła w myśli cichutko.

Po czym wstrząsnawszy głową, aż złote loki posypały się po ziemi, westchnęła, zrobiła ruch ręką, jak gdyby żegnała precz senne marzenia, lekkim krokiem wyskoczyła z łóżka na posadzkę i podążyła wprost do posrebrzanego umywalnika. Tu pokropiła tylko nieco koniuszki paluszków i czubek noska źródlaną krynicą, zamydliła oczy mydłem i już była umyta. Następnie zwykłym ruchem lwa, który sobie grzywę poprawia,

zagarnęła wszystkie swe kręte pierścienie włosów w jedną sporą kukłę, którą mocno przypięła do karku brylantową strzałą Amora, i poczęła wdziawać na siebie szybko suknię wyłonią, balową. Było to istne arcydzieło kunsztu krawieckiego, całe z bladeledynowego muślinu, do którego przypięte były tu i tam bukiety polnych kwiatów i czarnych jaskółek. Na to zarzuciła jeszcze złotą siatkę, która szczelnie przylegała do jej udałych form dziewczęcych i nadawała jej wyraz rybki, złapanej w złotą pułapkę. Na dodatek zapuściła we włosy kilka fiołków i kilka jesiennych liści, po czym wylała na siebie flaszeczkę zagranicznej perfumy, zwanej wodą Franciszka Józefa, i gotowa do zejścia stanęła przed lustrem, które wiernie odbiło jej podobiznę.

— Tylko hrabiowską koronę do ręki! — szepnęło kusząco zwierciadło — tyś dla księcia żona. . .

— Ha! Czy choćby był stary i łysy? — rzuciła wzburzona w kryształową taflę.

— Dlaczego nie? — odpowiedział chochlik ukryty w nim. — Ty i tak zrobisz z mężem, co będziesz chciała.

— Otóż, żebyś sobie wiedział, ty złośliwy dajmonie, że nie wszystko złoto, co się świeci — drwiła głośno, wspomniawszy łysinę hrabiego Chłapskiego. — A teraz, że-

byś mnie do złego nie namawiał, zniszczę cię — mówiąc to podniosła przednią nogę i strąciła kosztowne zwierciadło z piedestału, które ze straszliwym łomotaniem jęło się trząsać i kruszyć w kawałki, obryzgując przerażoną Steńkę i obecne sprzęty gradem szkła. Jeden odłamek przeleciał tuż nad okiem swawolnego dziewczęcia, raniąc ją jednak tylko w cerkiew alabastrową piersi i zostawiając tamże niewidoczny ślad, niby zastygły rubin krwi lub gorąca kropla lawy.

Te wszystkie niepokojące odgłosy zwabiły panią Dorycką z jej pokoju.

— Dziecko — bąknęła matka, ubrana w przepyszną suknię z atłasu pompadour, obszytą koronkami *vieil argent* i łabędzim puchem. Na głowie zaś chwiało jej się jedno jedyne pawie pióro.

— Coś ty uczyniła, niebaczna, czy ty wiesz, co to teraz takie zwierciadło kosztuje i skąd ja, matka, wezmę na to, by pokryć hrabinie tę szkodę?

— Ależ, matuś, nie dręcz. — Śmiała się srebrzyście już uspokojona dziewczyna. — Ot, powie się, że kotek bawił się lusterkiem i stłukł je. Dla tych magnatów zwierciadło mniej lub więcej całe to drobiazg. Zresztą tak ślicznie wyglądasz, matuś, że się gniewać nie możesz. Czy to dla ekscelencji wiceadmirala kolei żelaznej włożyłaś, mamciu,

tak pomarańczową i piękną toaletę? Oj! mamuś moja, zawsze ta sama! Biedny admirał! — westchnęła figlarnie. — Cóż on teraz pocznie. Czy doczeka się swojej kolei?

— Niemądra jesteś, Steńko — ofuknęła ją już udobruchana matka. — Odkąd mam ciebie i siwy włos na głowie, nie sędzę już o własnym podobaniu się. Ty za to myśl o zjednaniu sobie tego bogatego, sympatycznego hrabiego Chłapskiego. No, a teraz chodźmy na wieczerzę, zdaje mi się, że już trąbili.

Mówiąc to, pani Dorycka odetchnęła z ulgą i obie ze Steńką poczęły wolno schodzić ze schodów do jadalnej sali, gdzie grzmiała muzyka salonowa i rozchodził się miły zapach pieczonej polewki i śmietanki towarzyskiej.

Rozdział piąty

Lokaj w kunsztownej liberii zaintonował:

— Panie Doryckie z Doryc, herbu Nenufar.

Na to odezwał się w rojnej sali szmer i dla starego nazwiska, i dla uderzającej urody Steńki, która wyglądała znacznie piękniej od kwiatu aloesu. Hrabia Zenon z wolna drgnął, zwinnym ruchem łasicy przerzucił monokl z lewego oka na prawe, aby móc podziwiać lepiej, przeciągnął się i dosłownie wżarł się w nią błyskawicą gorących spojrzeń.

Steńka oblała się pąsem od stóp do głów, gdyż pomimo swojej niewinności temperament jej lwi przeniósł ją nieraz ze świata realnego w czysto zmysłowy, marzeniowy, i taka wzrokowa, iście brutalna wprost pieszczota nie mogła ujść jej badawczego oka. Usiadła więc, drżąc jeszcze z tego niespodziewanego ocznego spotkania z Zenonem, na miejscu, gdzie na białym całunie obrusa widniał jej bilet wizytowy w otoczeniu wieńca fiołków i majeranku. — Odetchnęła zatem z ulgą, gdy wyfraczony marszałek pałacu wsunął jej nieznacznie do ręki kieliszek starego burgunda. Zauważyła przy tym z przyjemnym zdziwieniem, że to samo uczynił z jej sąsiadem, którym był właśnie hrabia Dolary Chłapski, a który się do niej uśmiechnął w sposób znaczący.

— O, i pani też jest, jak widzę, znawczynią pięknych okolic i ich darów — rzekł z wrodzonym talentem ciętej i wysoce kulturalnej rozmowy, a na jej pytający wzrok dodał: — Wszak lubisz pani Burgundię?

— O, i bardzo — rzekła już śmieiej. — Znam całą Francję, wolę jednak Paryż, nawet od naszej ukochanej Warszawy.

Popatrzył na nią z lekka przymrużonymi oczami.

— Jako malarz — wzmiankował — widzę, że jesteś pani ptakiem cieplarnianym — niejako bocianiątkiem z polskiej strzechy. Któż by to przypuścił — dodał jakby do siebie — włosy tak płowe jak nasze słońko — oczy jak niebo w nieco borealny wieczór, a dusza, która rada by cały świat w swoim ugościć sercu. A jednak mylisz się, pani, i nasz polski zakątek jest piękny, i piękniejszy może niż te zamorskie krainy, trzeba go tylko umieć odczuć i zrozumieć.

— Garçon! — mrugnął na stojącego bezradnie za framugą jego krzesła lokaja, który nie śmiał się wtrącić do rozmowy — bądź tak dobry i nalej mnie i mojej pięknej sąsiadce tego francuskiego czerwonego nektaru! Tak, assez! Więc — ciągnął dalej, popijając wesoło kosztowny trunek — czy pamięta pani, jak śpiewał jeden z naszych wielkich wieszczów polskich, Adam Mickiewicz: „Te brzóz kilka, ten bieg wodny itd. . .” — A — zapalił się — jak ten mistrz o Litwie mówi w swoim niezapomnianym „Tadeuszu”, to wprost własny biedny kraj pokochać można. Tylko że my, Polacy, przeważnie go nie znamy, a jak powiedział stary Dekarcjusz: Connaitre c’est aimer! . . . Poznaj, a pokochasz — objaśnił prędko szeptem, pochylając się nieco nad nią tak, że jego męskie

ramię musnęło z lekka jej wycięty obojczyk. Odsunęła się zwinnie jak mimoza, obrzucając go gradem zimnego spojrzenia.

— I lód pęka, gdy go słońce sparzy, i serce nie takie twarde, gdy się je rozgryzie — rzekł z wolna hrabia, nakładając sobie na talerz pierś przepięknego pawia. — Pani się zwijasz w powłokę lodową, a przecież pani jesteś modelem dla jakiegoś Rafaela, mistrza sztuki Renaissance, a który tak przedziwnie uwiecznił Boga w Kaplicy Sykstyńskiej!

— Wszak znasz pani Rzym i Włochy? — zaczął nagle.

— Owszem — odparła — podróżowałam z matuchną raz w ciągu roku. Ach! — zapaliła się — pamiętasz pan Uffizi i te cuda w Colosseum?

— Lubisz pani sztukę? — zapytał namiętnie.

— O, tak — odrzekła — kocham malarstwo, Wenus Milońską i wszystko, co piękne i podnosi ducha!

— Pięknieś to powiedziała, pani, chociaż moim zdaniem Wenus Milońska piękna jest jedynie na oko. A czy wolno zapytać mi się, jakich malarzy przynosi pani w swym sercu? Czy chłodnawego Rembrandta? czy może tytana Anioła? czy ascetycznego Rubensa? czy ponurego jak noc Tycjana? A może wolisz pani za słodkie nieco pasterki

Watteau lub za chude dla mnie madonny preraphaelitów: Giotta, Cimbauego, Rosettiego?
I one też mają swoją naiwną rację bytu.

— Ja kocham nade wszystko Grecję i Madonny Murilla — szepnęła Steńka, patrząc mu śmiało w oczy i wychylając jednym rzutem kufel szampana.

— Zgadzam się z panią w zupełności. . . Madonna grecka — bąknęła z cicha, roz-
bierając ją pałającym spojrzeniem. — Rzeczywiście, zepsuta Grecja zostawiła nam po
sobie dużo pięknych upominków dla sztuki i jej wyznawców. . .

Nagle pani domu lekko zadzwoniła kryształowym dzwoneczkiem, wiszącym na szyi
jej ulubionego pieska, i goście z wolna zaczęli się zbierać do odmarszu, całując z po-
dziękowaniem ręce hrabiego i hrabiny.

— Czy wie pani — dorzucił szybko Chłapski, gładząc jej twarz rozognionym wzro-
kiem — co powiedział wielki poeta włoskiego Quintocenta, Petrarca, gdy wyjeżdżał na
czas krótszy z Florencji, swej rudowłosej wenejance.

„Tempo passato, perche non torna più” — i ja powtarzam to samo za wielkim mi-
strzem, dziękując pani za tak urocze i miłe sąsiedztwo.

— Hrabio! . . . — podziękowała Steńka nie podnosząc źrenic.

— Pani!... — pożegnał ją hrabia, zaokrąglając ramię, które ona przyjęła z rumieńcem dziewiczym, i cały pochód ruszył ku bramom sali balowej, gdzie już basy poczynały kroić okrężnego mazura.

Rozdział szósty

— Czy mogę panią prosić do pierwszej czwórki? — zapytał hrabia Dolary, stając przed Steńką w pozie tanecznej. Lecz w tej samej chwili stanął, jak spod ziemi wycelowany, sam pan domu i zatrzymawszy ruchem poziomym rękę hrabiego Chłapskiego, który właśnie zbierał się zagarnąć ramieniem cienką jak fryga kibić Steńki, rzekł dobitnie:

— Ależ, cher comte!... Cóż pocznie w takim razie piękna księżna Mary bez swego zwykłego cavaliere servanta. Zamiast ją bawić, vous perdez le temps a mettre au monde des jeunes filles dans mon salon. Fi donc! — dorzucił z niesmakiem.

Hrabia Dolary wyprostował tułów znacznie i syknął: — Avec permission! Przede wszystkim powinienes pan, hrabio, pamiętać o swojej narzeczonej, baronównie Świdrypajło, która pietruszkę żuje między panienkami. Per Bacco hrabio — dodał nieco brutalnie — malowanyś narzeczony. Cha! Cha! Cha!

— Milcz! hrabio — zaświstało mu nagle w uszach — jeżeli nie chcesz, by mnie względem ciebie uniosła moja błękitna krew, bo wtedy widzę wszystko w krwawym tonie i mogłoby się to dla nas obu zakończyć, ale w sposób arcyniemiły!

Mówiąc to poderwał oniemiałą Steńkę z posadzki i zatoczył z nią w miejscu szatańskiego hołubca, przyciskając ją mocno do piersi.

— Puść pan! — szepnęło dziewczę, blade jak martwica, przyciskając się mocniej do jego silnego ramienia mężczyzny.

— Nie! Nie puszcze, jedyna! — zamamrotał ciepłym tonem Zenon. — Oto teraz zawiedziemy taniec szalony, całkiem nagiego piękna. . . Ogień i lilia — dodał kusząco.

— Pan jesteś narzeczonym, hrabio! To się nie godzi — odparła już śmielej Steńka.

— Tyś moja! moja! królewno z polskiego dworku — zaszemrał pokornie, nie odpowiadając jej na pytanie.

Nie wiedziała, jak i kiedy znaleźli się wśród szalonego tańca w oranżerii, gdzie od przepysznych wschodnich palm, rododendronów, pterodaktyłów, cynegali i apokaliptusów trzęsa się dosłownie cała oszklona sala. Steńką w życiu swym nie widziała takich kosztowności flory. Toteż cała jeszcze pod wrażeniem cudownego zakątka, padła zmęczona nieco upajającym walcem Straussowskim, na poręcz kryształowego krzesła w formie wazy greckiej, które ozdabiała to bukoliczne atrium.

— Bosko tu, bosko! Hrabio — szepnęła, trzęsąc się jak w febrze.

Wtem nagle jakaś żelazna obręcz, niby wąż boa, mieszkaniec Północnej Afryki, który może spadł z daktylowej palmy, objął ją wokoło. . . Było to ramię Zenona, który klęczał jak martwy u jej stóp, szepcząc pokłony i słowa zachwytu.

— O, jakże cudną jesteś, pragnienie ty moje! Żałuję, że nie jestem w tej chwili jakimś sławnym Greuzem, malarzem rodzajowym, aby móc oddać na papierze, świętym dla tej sztuki olejem, obraz twego buziaka zmysłowego anioła.

Mówiąc to, przytulił głowę, jak przestraszone dziecko, do wytwornych wiązań jej dwojga kolan.

— Usta mi zaschły, jedyna — poprosił, patrząc jej w oczy z ufnością. . .

Steńka nie bronila się, przymkneła z lekka powieki i nagle poczuła, jak wielki żar i ulga wpłynęły jej do serca, a na ustach jej, niby dziki tygrys na piaszczystych pustyniach Sahary, usiadły palące się wargi Zenona.

— Kocham!... szaleję!... — mawiał z cicha w przerwach pocałunków. — Ty moja, moja na wieki.

I oboje wsparci tak o siebie bytowali, jak zakochana para, jak królewskie państwo z długiej bajki Andersena, wielkiego bajorza skandynawskiego.

Różne uczucia miały duszą dziewczęcia. — Ból, męka, rozkosz i nadzieja. — Tak, dziwnym jej się to zdało, że ona, niezłomna, zimna na oko, niby królowa, ona, którą żaden żyjący mężczyzna do ręki nie wziął, teraz bez wahania, bez oporu oddała usta swe dziewczęce jego straszliwym całunkom.

Tak! — ale to się powtórzyć więcej nie powinno. Jakżeżby śmiała stanąć później, oko w oko, czoło w czoło, przed matuchną swą ukochaną. Na samą myśl o tym można spieć raka.

Więc próbowała oswobodzić swych ust pąkowie z uścisku Zenona, gdy nagle bujna, czarna w złote i krwawe łabędzie, lita kotara zatrzęsła się nerwowo, jak piękne młode

dziewczę tańczące taniec świętego Wita, i na tle jej złowróbnym zarysowała się jasno, niby połowica szatana, ciemna sylwetka kobieca o straszliwej i zamroczonej urodzie. Ubrana była gustownie w szkarłatną aksamitną szatę, przybraną gęsto złotym, greckim szychem, a tak szczelnie przylegającą do jej nieco za ponętnych kształtów, że czyniła ją prawie naga. Na szyi jej szczególnie białej wisiał złoty, ciężki łańcuch, widać, że wyrabiany w kuźni jakiegoś weneckiego snycerza. Do jego końca przywieszono było maleńkie złoczone lusterko, pilniczek do paznokci, puszek i brylantami wysadzana wykałaczka. Zaś w jej rasowych uszach widniały złote, rubinami i diamentami wysadzane podkowy, które gaśły jednakże przy dziwnym, astralnym niemal świetle jej ogromnych, zielonkawych źrenic.

— Ahaaa! — zachłysnęła się bestialnym wyśmiechem. — Jak widzę, hrabicz Zenon nową ofiarę porwał w swe szpony. Ależ strzeż się, owieczko z białego dworku, byś się nie stała tym, czym ja teraz jestem. — Zostaw to niewinne dziewczę, Zenonie. Oto ja, hrabina Wampir, jakieś mnie nazywał w chwilach naszych upojeń, ja cię zaklinam, wyrzuć ją i kochaj mnie, kochaj! całuj mnie, ach! całuj! — Ja kocham cię i nienawidzę, pragnę i potępiam. — Mówiąc to dzikim półtonem, padła mu do nóg, wijąc się wkoło

nich w jakichś rytmicznych podrygach i prysiudach zawrotnych, w których znać było, że pradziad jej był atamanem kozackim i że w niej płynie dzika, nieokiełzana krew stepowych dzieci. Z oczu jej, zielonych jak Veronez, padały łzy jedna za drugą, kałużąc się na ziemi.

— Precz! — zawył cicho Zenon, depcząc ją obcasem. — Odejdź od mego szczęścia. . . z oczu twych kapie wężowa curara spojrzenia. Wynoś się! Precz, do budy!

Uniósł się z krzesła na ziemię. — Ale Steńka niestety już tego słyszeć nie mogła, bowiem przy pierwszych słowach hrabiny Iry zrobiło jej się ciemno i słabo, a teraz całym ciężarem padła zemdlona na marmurowe łono posadzki, u stóp płaczącej palmy. Zenon schwycił się za głowę, jakby sam już był częściowo nieprzytomny, i jednym gestem znalazł się między tańczącymi, obgryzając z żalu i zgryzoty swe wytworne białe palce, obute w kosztowne pierścienie.

— Panna Steńka zemdlą! Ratuj w imię Boże! — krzyczał Kotwicz, po czym przedłożył aranżerowi konieczność ratunkowego mazura w stronę cieplarni. Sam zaś przez otwarty wirydarz wbiegł do chłodnawej apoteozy pokoju nocy, gdzie jak wściekły pies rzucił się głową naprzód w lustrzaną taflę jeziora.

Rozdział siódmy

Zemdlą! — zaszemrał wiaterek i miłośnie ucałował blade róże w ogrodzie. — Zemdlą — zaćwiergotało niefrasobliwe ptactwo. — Zemdlą... — parsknęły hrabiowskie bułanki. — Zemdlą — uśmiechali się powątpiewająco na twarzy dworscy lokaje, a dziewczęta w pralni wzdychały znacząco.

— Zemdlą!... — wyrzekła matka zwiędłymi usty i nie doczekawszy końca tej doskonałej zabawy, zabrała córkę do domu, gnając co sił pełną parą dorodnych ogierów. — Jednak młoda natura zwyciężyła. Stenia po długiej niebytności znów wróciła

do siebie, a wróciwszy wybuchnęła gorącym łkaniem, w którym wyplakała do reszty, jak jej się zdawało, całą swoją źle zlokalizowaną miłość do Zenona.

I znów zaczęło się życie domowe, miluchne, spokojne, jak z Wincentego Pola, uroczego ludowego pieśniarza. Ale Steńka wciąż jeszcze nosiła w łonie mózgu wytworną podobiznę Zenona. Słyszała, że został wyratowany z owej niebezpiecznej nocnej ekspedycji w zdradliwą toń starego stawu przez poczciwego ogrodnika, który bawił w pobliżu z wierną suczką Danae, ale że popadł po kolana w jakieś latające bóle stawów, które uruchomiły go do wyjazdu z kraju za granicę.

— Ach! pójść tam, gdzie poznała go po raz pierwszy, rzucić się hrabinie do kolan, wypytać o szczegóły jego choroby — marzyła skrycie.

I pewnego dnia stało się z nią coś dziwnego, zaczęła myśleć i wymyśliła. Otóż tak! Pójdzie do hrabiny, a w zamian za okazaną uprzejmość zanieśie jej kosz drzewnych łąkoci i dowie się przy tym coś o zdrowiu jedynaka. Poszła więc zbierać owoc świeżo wylęgły. Cudnie mieniły się funty jabłek i złote tuzy gruszek, które balansowały się tu i tam wśród dziecinnej zieleni drzew.

Stenia, jak miluchny dziadek kościelny uzbrojona w workowaty kosturek, gasiła jabłka jedne po drugich, sprowadzając je rychło ze snów podniebnych do rzeczywistości. Trzęsła śliwą jak febra, chichocząc, a perły śmiechu ciurkiem padały z jej ust w trawę pluszową.

Wreszcie skończyła tę owocną pracę i wzięwszy na siebie kosz ciężarny, pobiegła rażno, przekomarzając się z własnym cieniem. Leciwała drobnym krokiem, jak puszczonego strzała figlarnego Amora, płacząc się we własnej piękności.

— Do niego, het, het... — A łan marzyciel chylił się do jej złotych pantofelków, szemrząc jej do uszka tajemniczo: „Wszystkie nasze dzienne sprawy”. — Ale ona stawiała mu się hardo i wzięwszy się pod boki odpowiadała zręcznymi krakowiakami:

Poszła Kasia w żyto,
A pan jej się pyto:
Ej Kasiu, wieśniaczko,
Obdarzę cię paczką.
A Kasia mu: huzia!

Bo ci spuchnie buzia, hop! hop!

Szła tak, gnana zapachem pól, porykiwaniem pastuchów na bydło, szła jak madonna polna, ciesząc się z życia i szczypiąc po drodze jeżynę i buczynę.

Dopadła wreszcie drzewiczek prowadzących do pańskiego ogrodu, gdzie strzelała w niebo fontanna, jak ogon rasowego byka. Rosły w tym dziwnym ogrodzie fiołki, bławatki i tamaryszki. Rasowy baobab wchłaniał w siebie lubieżny zapach konwalii i jabłoni. Kurczowo ściśnięte gałązki akacji wypisywały jakieś arabskie awantury na tle rozigranego przestworu. Storczyki pełne demonicznych piegów zatajały wstydliwie tajemnice bytu swoich zazdrosnych, zwyrodniałych łon. Serduszka Żanetty skromnie wyciągały języczki różowe Panu Stworzeniu. Tłoczyły się kolczastym uściskiem kaktury i gymkany. Spod żywego płotu strzyżonych chojarów strzelały obłym zapachem pokrzywy i maliny. Do ziemi jeszcze wygrzanej nocą, tuliły się krzewy ananasowe i marcypanowe, a pomarańcze malinowe i cytrynowe cudnie chygotały się w obłokach. Steńka wprost zataczała się z zachwytu, a ujrzawszy drzewo świętojańskie szepnęła pobożnie:

„I chleba naszego powszedniego”. Lecz nagle serce jej zamknęło się w sobie i stanęło, w jednej chwili opanowała się jednak i dumnie podniosła głowę, bo oto ujrzała zbliżających się do niej czterech lokai wyglądających jak cztery pałki wyjęte z dziewięciopalkowej hrabiowskiej korony.”- Spytała więc bez uniżenia:

— Hrabina czy zdrowa? Jak się czuje? I czy przyjmie pannę Dorycką z Doryc?

Mówiąc to, Steńka tak wysoko podniosła głowę, że fagasy opuścili komie czoła i odpowiedzieli chórem: — Hrabina prosi!

Po czym wszyscy ruszyli na przełaj przez wytworne kwietniki w stronę pałacu.

Podczas tej krótkiej przerwy jeden z lokai, milczący dotąd, kichnął od serca.

— Zdrowie pani hrabiny! — zawołali na to jednogłośnie słudzy, a stary, zaufany Piotr, wiedzący, jak trawa rośnie, dodał z cicha: — I jej przyszłej synowej.

Steńka zarumieniła się, nie dając jednak tego poznać po sobie, i spojrzeniem podziękowała staremu. Gdy weszli do prawdziwego empirowego salonu, hrabina, zawsze jeszcze piękna w sukni ajour z pąsowym, ziewnęła z lekka na przywitanie i wskazała Steni miejsce na brzegu fotela.

— Niech siada! — wycodziła przez sitko swych arystokratycznych warg.

— Z kimże mam przyjemność mieć przyjemność?... — ciągnęła — bo mój krótki wzrok...

— O, pani hrabino! — odpowiedziała dziewczyna, siadając z wrodzoną skromnością półgębkiem na kanapie. — Czyżby pani zapomniała o Steńce Doryckiej?

— W rzeczy samej — odpowiedziała magnatka — przypominam sobie teraz. Czy mogę zatem wiedzieć, co Steńkę Dorycką wprowadza w nasze progi? — Spostrzegłszy kwietny dar dziewczęcia, dodała z przymusem: — Cóż za piękny kosz owoców! Dzięki za pamięć. Ale i u nas są owoce, a mianowicie niedojrzałe winogrona — dodała, mrużąc złośliwie swe wytworne oczy w złotej ramie binokli.

Jakże ścięło się niewidocznie serce Steńki, jakże inne było powitanie hrabiny tydzień temu, gdy jeszcze nie była niebezpiecznym ptaszkiem dla tego rodu magnatów! Westchnęła więc do Boga o pomoc i ulegając wrodzonym zdolnościom podtrzymywania nieco trudnej rozmowy, odparła swobodnie:

— O, zapewne, że nie są tak dojrzałe, jak wiek pani hrabiny.

Hrabina zmrużyła nieco usta, by odpowiedzieć na tę uwagę, gdy wtem zza pleców pani domu wysunął się sługa, w czerwonym wytwornym smokingu, o złotych guzach

wielkości sińca. W obu rękach jego widniały dwie filiżaneczki herbaty z nieprzemakalnej saskiej porcelany, a nogą popychał przed sobą tacę z pieczywem. Gdy wreszcie wszystko zostało umiejscowione na stole, a Steńka, by wyręczyć panią domu, wskazała lokajowi ręką drzwi, rzekła hrabina:

— Syn mój wiele mówił mi o oczach pani, w które, zdaje się, patrzył z bardzo bliska.

Obrażona niewinność podniosła Stenię, lecz niemniej odparła lakonicznym głosem:

— Z odległości, która dzieli mnie od przyzwoitych ludzi, pani hrabino.

Hrabina chrząknęła na znak, że pragnie zmienić temat rozmowy, przy czym zabawiła się złotym rodowym łańcuchem, który spoczywając na jej piersi sięgał niemal do ziemi.

— Pani hrabino — zaczęła mówić Steńka głosem nieco wzruszonym — ponieważ pragnęłabym się dowiedzieć, jak się ma zdrowie jedynaka.

— Pani jest zbyt łaskawą — uśmiechnęła się kurczowo hrabina. — Jedynak mój, o którym pani wyżej wspomniała, lepiej się czuje wśród palm, pomarańcz i kaktusów Rivieri niż w otoczeniu niezabudek spod szlacheckiego płotu. Tak, tak, panieczko;

utytułowane gołąbki nie lecą łatwo do gąbki. . . i mydła — dokończyła ze złym pośmiechem.

Steńka zerwała się, blada jak bielmo.

— Hamuj się, hrabino, abym nie zapomniała o twoich dziewięciu pałkach! — wyrzekła dumnie.

— Pamiętaj pani lepiej o swoich pięciu klepkach — zaklekotała hrabina.

Nim jednak Steńka, oburzona ostatnimi słowy hrabiny, zdołała wstać z siedzenia, drzwi gościnne od salonu zostały rozpostarte na oścież, a w nim ukazał się sparaliżowany hrabia Waldemar Kotwicz, niesiony na rękach przez swoich czterech lokai. O, jakże ciężką musiała być starość tego magnata!

Hrabia poznał od razu Steńkę, której uroda uderzyła go już poprzednio mocno w oczy, i serdecznie, po ojcowsku, wyciągnął do niej dwa palce.

— Pójdź do mnie, biedne dziecko — zauważył, poznawszy od razu rasowym śwędem, że tu coś zaszło i że atmosfera jest ciężka. — Powiedz, co ci dolega, wypróbuj twoje serduszko, spuść się, dziewczeczko, na moją siwą głowę, która już niejedno zniosła.

I ja byłem kiedyś młody — dodał szeptem. Po czym zwiesił głowę ciężko na piersi... zdało się, że zasnął.

I przed oczyma starego magnata jeły się przesuwając niesforne wizje młodości... Księżyc — pierrot... zieleń traw! Róż i blansz krzaków Marechal Niel... Z dała... gruchania żab i słowików. — Białe krzewy kwitnącej gruszy. — Więc... lipy pachną, więc... z kwiecica rozlewnej kaskady, wychylona ona! — Paraska, dziewczeczka z pralni, szczerząca ku niemu wiśnie swoich warg... Księżyc osiadł zalotnie na jej piersi dygoczącej uniżenie, a ona czeka... Słysząc jej szept: „Królewiczu jasnyj!... Cherubywie bożyj! Pójdź ku mnie, jaśnie panie i władco... Miłuję cię jak słońce! Jak poezję!... Jak wiosnę!...

Przekąsił łzę stary pan. — Ha, cóż!... Młodość! — Szum rozpiętanej krwi arabskiej. — Wszak praszczur mołojec, zrodzony z atamanki. Rassa! Uśmiechnął się w dal. Cóż? Młodość nie chciała zastąpić mu starości.

— I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy — wyszeptał zdławionym głosem, wyciągając ku Steńce ramiona, w które dziewczę rzuciło się splakane. — Moja

córko! — zakaszła z angielską flegmą hrabia i ze wzruszenia kazał się wynieść za drzwi swoim czterem lokajom.

— Żegnam! — wybuchnęła hrabina w stronę oniemiałej Steńki, gdy drzwi się zatrzaśły na pożegnanie hrabiego i wyszła z obecnej bawialni, szeleszcząc dumnie prawdziwymi koronkami. Steńka jak pijana zatoczyła się w krąg raz i drugi, przeglądnęła lapidarnie bogate albumy widokówek, po czym pomieszana zmysłowo rzuciła się przez drzwi w ogród i popędziła jak strzała w stronę domu.

Rozdział ósmy

Był to świt przeciągle bolesny jak śpiew bociana. Siwa mgła-osmętница omamrotała swym zjadliwym wyziewem świat w jakąś szarą tucz, w której migotały tu i ówdzie kropelki wody, zwane przez cudzoziemców dżdżem. Steńka jakby przez sen otworzyła powieki, przetarła je alabastrowym kułakiem i spostrzegła, że jest tylko w jednej koszu-
li. Czym prędzej więc zapięła pierzynę jedwabną pod szyją, wstydząc się słońca, które zaglądało do jej okienka, jak czuły małżonek do swej kochanki. Po namyśle, odgarnąwszy mniej więcej garść włosów, którą jej sen, śpioch niepoprawny, narzucił na czoło, wyskoczyła odważnie z łóżeczka i klasnęła ochoczo w obie dłonie. Prawda! toż dzisiaj

ma iść pono z fuzją na cyranki. Wszak mówił wczoraj stary Hryhor, borowy, że całymi gronami uwijają się po zboczach sosen i dębów. Zastanowiła się: — bodaj to prawda. Stary Hryhor często nos wściubia do beczułki z miodem i chłopce jak sławny lis z Lafontaine’a, znanego bajczarza. — Biedny staruszek, trzeba mu to wybaczyć i dopomóc, on taki dobry. — I ją Steńkę, kolebał, gdy była niemowlęciem przy piersi.

Wesoła jak pasikonik, chociaż jakiś utajony smutek leżał jej wyraźnie między brwiami, obuła swe sarnie nóżki w pończoszki fil d’Ecosse, półangielskie, po szyję. Po czym przemiłym ruchem przerzuciła na siebie przez głowę zręcznie haleczkę i odziawszy się w matinkę różaną, przy której cudnie odbijała jej cera matowa w czerwony rzucik, podszła krokiem kontredansowym do srebrnego umywalnika, nucąc znaną piosenkę: La, la, la, la. . .

Gdyby ją w tej chwili zobaczył hrabia Zenon, jak umywała z kurzu nocy twarz i dłonie, byłby w okamgnieniu stracił głowę i opuścił co prędzej piękną Irę, z którą na Rivierze zabawiał się we właściwy sobie sposób.

Małżeństwo jego z baronówną Świdrypajło zostało z powodu rozděcia jego serca odłożone na później. Teraz przede wszystkim potrzeba było Zenonowi, jak to zalecali

panowie specjaliści, spokoju i oddawania się naturze, co też czynił chętnie. Steńce nieraz jeszcze stawał w sercu ponętny obraz hrabiego, ale wyrzucała go het! z mocą; nie chciała być igraszką losu, piłką tenisową, podrzucaną rasowymi rękami tego (straszliwego) magnata. Oddawała się więc z namiętnością swym ulubionym sportom, grasując na karnym bułanku lub polując na cyranki. Zmizerniała jednak i schudła w okolicy serca, jakby jej kilka lat ubyło. Nieraz, bywało, stara niańka Horpyna smutnie zamachnęła głową, patrząc na nią i mawiając do zaufanych sług: Danaż moja, dana; panienka nasza, ta królewna złocista, ona nie ta, co dawniej; czort urzekł to dziewczątko z polskiego dworku. Bywało, tak nie bujała nikiem nimfa wodna po tajniach lasu, nie wiadomo kiej, po co? kiej, za czym? Hej! Hej! Danaż moja, dana! . . . Kęsim, hej! Kęsim.

I nie myliła się po trochu stara Horpyna: Steńka nie była już tym, co dawniej. Po tym wszystkim, co przeszła, stała się również piękną, ale już kobietą.

Nagle ktoś bez ostrzeżenia zapukał trzykrotnie do drzwi. Wrażliwa Steńka przybliżyła i ubrawszy fuzję, stanęła przy oknie.

— Proszę! Kto tam? — spytała odważnie.

— Panniunciu złocista! — odezwał się znajomy jej głos za drzwiami. — Taż to ja, wasz Hryhor serdeczny. A śpieszcie się, pannunciu moja, bo nam ptaki z boru pouciekają. Taż to już wpół do komina! — żartował, patrząc w nisko rozżarzone słońko.

Steńka jak ptaszek pobiegła do drzwi i wpuściła do pokoju Litwina, który będąc już stary i słusznego wzrostu na poufały ton sobie z panienką pozwalał. Steńka pogroziła mu paluszkami w stronę nosa.

— Ejże, didku! — mizgała się, ciągnąc go za hetkę pętelkę przy surducie — nie gniewajta się, didu, bo Steńka gotowa się rozplakać, i co wtedy zrobita?

Staremu, który kochał Steńkę niemal rodzicielskim ogniem namiętności, łzy zabływały w oczach.

— Pannunciu! serdeńko! — zawołał. — A niechby mnie już Matka Boska szlakiem trafiła, niżbym ja królownie mojej miał krzywdę zrobić nijaką. Ale pannunciu — rzekł przechylając się dyskretnie do uszka Steni — tylko to tajemnica — groził. — Ponoć tam za Satanhorą lochy powiły, a dzicy byli, ale wyszli, można by jakiegoś prosiaczka upolować. . . — mrugnął do Steńki znacząco.

Steńka zarumieniła się lekko.

— Hryhorku! bosko, cudownie! — wołała rzucając mu się na łeb, na szyję.

— Wiecie, didku, że ja nigdy jeszcze nie polowałam na grubego zwierza — tłumaczyła się staremu.

— Nu! ja wierzę — bronił się poczciwy Hryhor. — Ino te cyranki gotowe na nas nie czekać — wymawiał ucieszonej.

Zabrawszy potrzebne zapasy i naboje, ruszyli wraz w knieję, która jak pierścień z czarnego onyksu, według wyrażenia Hryhora! okrążała daliznę pola. Jeszcze tylko z daleka dobiegała do dworu ruska dumka, którą Stenia smętnie nuciała w przestrzeń:

Przy zagaju, przy ruczaju
Jechał Kozak, na buhaju,
Oj buhaju, ty niebożę,
Szczu ty znajesz Zaporozże?
Oj, nie znaju! ja nie znaju!
A ty, maty, wódki daju -
hu, ha!

Rozdział dziewiąty

Gdy Steńka, zmęczona zapasami ze swawolnym ptactwem, poszła spocząć wśród szumowin lasu, ten ostatni był jeszcze wilgotny jak świeżo scałowana dziewczyna wiejska. Obatuchany zielonkawą mgłą topielicą i ustrojony jak panna młoda, bo rosły w nim dziewanna i kalina, grzyby opuchłe, lecz jadalne, kręcące się niechętnie tu i gdzieś, w rozhovorze mchowym, i ptaszkanie, fletniści boscy.

Cisza była — tylko czasem z gęstwiny listowia dolatywał stuk spadającego żółdza lub przeraźliwy odgłos bąka i sowy. Steńka usiadła zmęczona na poręczy stuletniej brzozy, zaś przy tym nagłym i niezwykłym ruchu spadła jej z głowy mała dżokejka, któ-

ra zwykle we włosach nosiła, i dwa rudowłose warkocze, jak dwa węże, bracia mleczni, oplotły jej miłośnie szyję. . . Wyrwała się z ich objęć i padła, porwana w dziką sara-bandę snu, na jeszcze wilgotne piernaty mchowe. Lecz nim zdołała zakończyć cudowną bajkę o szczęściu, królewiczu i etc. . . którą jej sen łopata do główki wsadzał, zbudził ją jakiś męski stanowczy gwizd i syk śmiertelnie trafionego gada. Otwarła oczy, jeszcze Morfeusza pełne, i. . . ujrzała przed sobą straszliwy a grozą przejmujący widok. Oto przed nią stał w futrzanej, modnej misiurce sam hrabia Chłapski, trzymając w jednej ręce strzelbę, w drugiej truchło zabitej przez siebie żmii.

— Na! — rzekł, rzucając Steńce pod nogi, ze swoim zwykłym lekkim dowcipem. — Teraz na zawsze unieszkodliwiłem tę złośliwą, małą nieboszczkę. Wprawdzie nie należy o umarłych źle mówić — żartował — ale to stworzonko chciało przed chwilą swój zjadliwy pyszczek utopić w pani zgrabnej nóżce, a ja, który nie śmiem nawet musnąć czubkiem mych warg pałających alabastru czoła pani. . . Ot, jest to sprawiedliwość na świecie — zachnął się. — Lecz — dodał pośpiesznie, krusząc coś w palcach — skrzydlate i nożne smoczki uwzięły się dziś na panią. Zresztą mają dobry smak, skórkę musi pani mieć miodną i soczystą — dodał nieco brutalnie. — W tej chwili właśnie bąk chciał

panią ciąć, *une toupie a voulu vous couper!* — nieznośne ptactwo, te owady, las mi tylko zanieczyszcza.

— Pan jesteś dzisiaj obrońcą *mym* — dziękowała Steńka, składając rączki jak do modlitwy. — Jak jakiś legendarny rycerz Lohengrin, który wybawia biedną księżniczkę ze smoczej jamy ustnej potwora.

— Czy wolno rycerzowi, jak go pani sama nazwałaś, prosić księżniczkę o nagrodę? — zapytał hrabia, oczami rozcałowując jej drobnych warg poziomki.

— Oto jest! — rzekła Steńka, obie swe zręczne dłonie mu podając śmiało.

Hrabia zmarszczył brew z lekka, gdyż ustnej spodziewał się nagrody, ale pomimo to wtulił wargi w małe nenufary jej rąk i dodał:

— Nie spodziewałem się tu pani zastać, *panno Steniu*; wszak wolno mi panią już tak nazywać? Czy szuka pani tak wcześniej *manny*, tej rosy niebieskiej, czy kwiatu paproci? — O, nie szukaj go pani! Kwiat ten sam do ciebie przyjdzie, może nawet już jest — dodał figlarnie, pokazując okiem na siebie.

— Ja. . . tu o *świcie*. . . na *cyranki* — rzekła z prostotą Stenia, rumieniąc się lekko. — Kocham to ptactwo — dodała z pewnym wahaniem.

— Aaa! — rzekł, nasuwając monokl w orbitę hrabia i wyzywająco spoglądając na to płomień dziewczęce. — Więc pani bogini Dyanna, a zatem, czy mogę pani w tym sporcie towarzyszyć?

— Zapewne! — odparła dumnie — czemuż by nie? Las i jego mieszkańcy są własnością każdego.

— O, trzymam panią w postaci, której jeszcze u pani nie dojrzałem. Więc pani socjalistka, więc może upaństwowienie lasów? Ot! — zachnął się mierząc ją pogardliwie pożądanym spojrzeniem — wasze kobiece ideały!

Steńka spojrzała na niego obcesem.

— Pan chcesz — wybuchnęła — wkraść się w moje myśli, w moje najskrytsze dążenia. . . ale mylisz się, hrabio, i nie masz poniekąd do tego prawa!

— A czy będę miał kiedy do tego prawo? Powiedz, jedyna — bąknął błagalnie.

— Milcz pan! milcz, bo. . . strzełę! — rzekła niechętnie. — Prawo do mojej duszy może mieć tylko ten, którego kocham. Lecz jeśli pan mnie tak bardzo pragniesz za żonę pojąć, to mnie sobie pan bierz! Ale nie tykaj najczulszych strun mego serca, nie wkradaj

się jak złodziej do mej duszy, czystej jak wód kryształą, które nigdy do ciebie należeć nie będą.

Hrabia uśmiechnął się z wrodzonym sobie czarem, rozchylając wilgotne korale ust.

— Pani przemawiasz do mnie brutalnie, jak sławna Numa do złowrogiego Pompoliniusza młodszego, a jam sługa twój hrabino duszy mej! — Mówiąc to, wziął jej serdeczny paluszek i przycisnął go sobie do gorejących skroni. Przy tym nagłym ruchu monokl wypadł z oka hrabiego i zimny, poważny Dolary stracił nagle wszelkie panowanie nad sobą.

— Moja Steńka! moja — szepnął zajadle w jakimś pocałunkowym szale.

— Jak śmiesz, hrabio, całować młodą pannę w lesie, gdy nikt nie widzi — broniła się.

— O, przepraszam — tłumaczył hrabia, ocierając zroszone czoło — nie wiedziałem, że pani to tak przyjmie, zresztą, kto kocha, temu wiele wolno — jak mówi niezrównany Maeterlinck w swojej „Vie des abeilles”. A zresztą w czasie i przestrzeni panią jedyną pragnę i pożądam równocześnie. Fakt! Nie wierzy królowna? — uśmiechnął się pełnymi ustami.

— Nie ma czasu i przestrzeni, jest tylko wszechświat i dobry Bóg nad nami — broniła się już zrównowazona Steńka. — Ale... ale... — zauważyła, wstając z murowanej darni — ja już do domu — mnie czas... tam matuchna z podśniadaniem czekają... — dodała rumieniąc się.

— Panno Steńko! — odciągał ją Dolary — niech pani nie ucieka, cóż poczną bez pani biedne cyranki, ptaki wodne. O! niedobra z pani boginka!

— Ech, ptaszki, o których pan wyżej wspominasz, dadzą sobie radę beze mnie — śmiała się, robiąc do niego zęby.

— A jeżeli tak, to chodźmy — zgodził się hrabia, zaokrąglając ramię, na które Steńka z wdziękiem zarzuciła fuzję i naboje, po czym towarzystwo ruszyło w stronę Doryc, poprzedzane przez dzikiego psa Amora.

Rozdział dziesiąty

Nazajutrz, około godziny poobiedniej, gdy cały dom odurzony wytrawnym obiadem legł w sprawiedliwym półśnie, Steńka w leciuchnej jak mgielka różowej jupce na piersiach i w dobranej czerwonej chusteczce, chroniącej od słońca, na ramionach, odpyłała gumową szprycą zakurzone begonie pod pułapem domu. Wtem dobiegł ją jakiś nieuchwytny gwar, niby huk nadbiegającej chyżo lokomotywy parowozu kolei żelaznej lub niewdzięczny odgłos karabinu maszynowego. Przeżona, poderwała głowę do góry, a gumowa szpryca z właściwym sobie hałasem spadła na dno bujnej trawy. I nagle przez szeroki otwór bramy wtoczył, się pędem, okrążając gazon, elegancki podróżny

samochód z lapis lazuli, a ozdobiony jedynie herbowymi chorągiewkami. Cudownie błyszcząły w słońcu półksiężycy i harfy, złotym jedwabiem haftowane na niebieskim polu. Kierowcą był sam hrabia Dolary, w aksamitnej sportsmence, monoklach i pudermantlu. Zajechawszy przed dom, oddał korbę i płaszcz służącemu, a sam wyniosłym krokiem zbliżał się do Steńki. Rasa szła przed nim i za nim, otaczała go wokoło, kładła mu się na piersiach jak wierny pies.

— Czy mógłbym zrobić zaszczyt moją wizytą rodzicom pani? — spytał. — To jest, czy zastałem państwa D. w domu? — nalegał.

— Mamusia wyprowadziła tatusia w pole! Ale oto już wracają! — zawołała, wskazując ręką dwie dorodne sylwetki dziedziców Doryc, zdążających przez ogród. Wkrótce nastąpiło typowe przywitanie.

— Kupę czasu, waszmość dobrodzieju, nie widziałem jaśnie pana hrabiego — tłumaczył się ogorzały ojciec Steńki, obejmując spracowanymi dłońmi białe palce hrabiego.

— A bo i asan szlachcic jakoś niekwapki do Wychorzec zaglądnąć — odpowiadał uprzejmie hrabia. — Ale my tu gadu dziadu, a ja mam z asanem do pomówienia.

— Ananas, nie dziewczyna! — cmoknął ojciec hrabiemu do ucha, wskazując spłonią Stenię.

— O! jak widzę, dziedzic poeta! — uśmiechnął się pobłaźliwie Chłapski, wchodząc wraz z panem domu do gabinetu męskiego. Pan domu obrócił się ku pozostającej w cieniu żonie.

— Matysiu, chodź z nami! — zawołał. — Moja żona! — dodał do hrabiego, wyciągając ku niej ramiona.

Pani Matylda skłoniła się głęboko, jakże znała się na formach towarzyskich; nie darmo była pono Rozwydrzanka z domu. Umilknąwszy więc, przysiadła fałdów na starożytnym fotelu i nadstawiła na ową decydującą rozmowę uszu, uzbrojonych w brylantowe spinki, oraz biustu, którego jedyną ozdobą była broszka z prawdziwą starą agatą.

— Kolator dobrodziej — zaczął niedbale hrabia — zapewne domyśla się, w jakiej sprawie tu się fatygowałem. Otóż, od dłuższego już czasu staram się, nie pokazując tego po sobie, o względy najbardziej uroczego z pańskich kłopotów. A teraz przyszedłem zapytać się waszmość dobrodzieja, czy mi oddacie jej rączkę, a co zatem idzie. . . i, jak się nazywa. . . tego — no! — zająkał się nieco zmieszany.

— Zapewne serce! — zaintrygowała rzewnie pani Matylda, chowając starannie łyżę do kieszeni.

Gospodarz hrabiowski odchrząknął, jak gdyby kij połknął, tupnął garścią w stół, poklepał krzesło, na którym siedział, i dodał:

— Va banque! panie, wie pan, proszę pana, hrabio, lubię taką, jak to mówi nasz ksiądz proboszcz, prosto od krowy gadaninę! Znać, że nie malowany hrabicz z hrabiego! — Otóż przyjmujemy z zaszczytem zaproszenie jaśnie hrabiego i postaramy się; ja z moją żoną Matysią, przyłożyć dłoni do tej intrygi — tu zaśmiał się jowialnie. — Zawsze to — ciągnął — pańskie oko konia tuczy, jak to mówią, proszę pana, panie, wie pan, a nasza Stenieczka niebożątka schudła i podupała nieco na serduszku. Bo ona, proszę pana, panie hrabio, to taka poetka! Ale ho-ho, — dodał dobrodusznie — pan jaśnie hrabia ją moresu nauczył, bo to powiem hrabiemu na uszko, że tam temperamencik nie tylko od salonu. Krew nie woda! panie, proszę pana, po mnie! Mosterdzieju, po mnie! No, i nie dziwota, Doryccy, dziad w prababę, tacy byli! Tu mi konia przysiadzie, tam widzisz ją, jak z dubeltówką furgnie jak turkaweczka przez proso, tu mi znów z książką siędnie i czyta, czyta, jaśnie hrabio, mosterdzieju, aż książka w kawałki

leci, cały boży dzień. Babka jej, Śmierdzielówna z domu, też taka była, proszę pana, panie! — nic trudnego nie było dla tej niewiasty, ze wszystkim sobie radę dała, a konkurentów mogła sobie była na palcach wyliczyć, gdyby ich miała więcej, oczywiście palców. To nie to, co nasza dzisiejsza młodzież. Ale ot! i nasze sto pociech! — zaśmiał się do wchodzącej nieśmiało Steńki.

Uroczym wyglądem nasza bohaterka w odświeżonej perkalikowej świtce, ubranej w żywe wisienki. Włosy jej rozrzucone starannie, spięte były morową kokardą, jednak po wytwornej elipsie jej buziaka przepływała od czasu do czasu melodia smutku o swoim brzmieniu. Uśmiechnęła się jednak z przymusem, jak dziecko, które droczą, i usiadła wygodnie na fotelu, miękko, rozlewnie, jak gdyby nie była z ciała, ale raczej ze świeżej, pachnącej maślanki.

Pan Dorycki odgarnął czuba, obtarł żonie łzy wylotem rękawa i rzekł już zupełnie spokojnie:

— Czy waćpanna masz serce klęknąć na kobiercu ślubnym z tym oto jaśnie wielmożnym hrabią Dolarym Chłapskim i czy uwzględnisz jego życzenie, byś została wkrótce jego rodzoną żoną?

Steńka z mocą przymknęła łzą zalane oczy i pocałowałszy ojca w rękę, rzekła z pozornym spokojem: — Wody!... po czym dodała: — Dziękuję papie! Tak jest, chcę i požądam sakramentu z hrabią. I w tej chwili pierwsze w życiu kłamstwo okraśliło jej wargi do czerwoności: — Pragnę także wesprzeć się na jego ramieniu i przyczynić się do tego, bym mogła zostać dobrą żoną i matką.

Przy tych słowach do słońcem nabrzmiałego pokoju weszło cicho — jak gdyby przez drzwi, jakieś swojskie rozrzewnienie i przysiadło na kobiercu zawodząc z cicha wschodnią melopeę.

— Dzięki Ci Panie Boże, żeś mnie tak pobożną obdarzył córką! — przerwała ciszę matka, całując męża w rękę.

— No, no, mosterdzieju, nie ma za co dziękować — mitygował rozrzewnioną gospodarz. — Ot! lepiej — tu mlasnął językiem na hajduka — napijemy się staropolskiego węgryzna. Zawsze to, panie proszę pana, trunek nie ubliża, ale przybliża — dowcipkował, by przerwać wesoły nastrój.

Niedługo wierny hajduk Hryć zjawił się, wnosząc na srebrnej tacy wspaniałą omszałą jak polska matrona butlę starego węgryzna, którą był kiedyś przywiózł z wyprawy

pod Wiedeń, a bodaj czy nie z samego Wiednia, podkrajczy koronny, imć pan Hipodrom Mnożysław — pan na Dorycach. Gospodarz skręcił szyję butelce jednym męskim rozmachem i rozlał jej zawartość do pucharów, ze specjalnie na ten cel urzęniętego kryształu po dwieście rubli sztuka, gdzie widniał w otoczeniu pięciu szlacheckich pałek karmazynowy nenufar na złotym polu chwały. Pan domu podniósł kielich w jednym ręku i powiewając koronkową chusteczką, gotował się do zaintonowania zdrowotnego dla młodej pary toastu, gdy z wrodzoną delikatnością uprzedzając go hrabia Dolary wykwintnym ruchem rzekł:

— Parole d'honneur! Asaństwo mili, zwyczajem naszych starych dziadów pozwalam sobie, choć głos tamuje mi wzruszenie, wychylić staropolskie: „Kochajmy się!”

Na to odezwanie się hrabiego tamy lodowe pękły w kawałki. Gospodarz domu, nie zbity z basałyku, krzyknął:

— A bodaj cię, luby przyszły — takich nam trzeba gagatków, a nie jakichś tam, mosterdzieju, pantalózków, co to, panie, ani na dach, ani do tańca!

Hrabia Dolary, który będąc wesół z matki hrabiny, lubił czasem pożartować, porwał kryształowego Lampiego i runął nim o podłogę wykładaną w prawdziwe esy-floresy

dobrego smaku, po czym z wielkopańskim gestem zabrzączał nieznacznie drobnymi złotymi w kieszeni, zaprosił gospodarza domu na partyjkę wista, i po chwili znikli obaj w pokojach o ściśle męskim wyglądzie.

— Matuchno! — jęknęła Steńka, padając matce na ręce, ciche łczenie zakołysało jej łonem.

— Moja ty hrabino! — odparła matka i obie splecione zwięzłe ramionami, jak posąg Ugolina Barresa, pozostały tak nieruchomo, póki stary słoneczny zegar w ogrodzie, przerobiony na czas środkowoeuropejski, nie wykukał dwudziestej ósmej godziny i ścichł. Zaś z drugiego pokoju dochodziły wzruszeniem nabrzmiące głosy: lewa! prawa! As! Pik! Trefle! Dzwonko! itd.

Rozdział jedenasty

Wkrótce po oświadczeniach odbył się istic galowy, z typowo hrabiowskim staraniem urządzony, ślub Steńki z hrabią Chłapskim, na którym staropolskim zwyczajem wieczera i tańce trwały sporadycznie bez przestanku; toteż nic dziwnego, że młoda hrabina ledwo się czuła po tylu trudach i świetnych przejściach. Ślubni państwo zamierzali odbyć co prędzej miodowe miesiące w uroczej Wenecji i wracać chyżo do kraju.

* * *

W drzwiach restauracji dworca w Psku ukazał się nasamprzód olbrzymi krzak róż cielistego tonu, obramowany strzyżonym majstersko papierem. Wewnątrz widniał dyskretnie upieczony indyk, którego aromat walczył o lepsze z perfumą róży. Za tym bogatym bukietem ślubnym ukazał się hrabia Dolary, niosąc na drugim ręku omdlałą Stenię w białej gazie i ślubnej sukni podróżnej. Hrabia miał też stosowny strój i rękawiczki „sang de boeuf”. Za nimi postępowała matka lejąc łzy radości. W kącie zebrało się inteligentniejsze kółko, z którego wybuchał co chwila śmiech z niczego. Sławnie dowcipny Wicusz Strumisz szperał po kieszeniach gości, a Jan książę Małski, amator, bukał. Przywracał odwróconą powagę wuj panny młodej i siwobrody malarz Rabuś. Ktoś pod świetną datą zanucił rapsod z „Króla Ducha”.

Niejeden z kolejarzy przystanął tknięty wdziękiem tej sceny. Niejeden maszynista zatrzymał pociąg, ze współczuciem patrząc na coraz bledszą twarz hrabiny. — Nagle dreszcz przerażenia przebiegł po zebranych.

Stenia zbielała do koszuli, a usta jej poczerniały, jak malina zwana jeżyną. — Wo-
dy!... szepnęła białym poszeptem. — Zaległa gwałtowna cisza.

Dolary w pierwszym porywie instynktu, chcąc ratować żonę, chciał sobie rozbić
głowę o mur, lecz w drugim popędził jak szalony het, ku lokomotywie, która sapiąc
jak miech wydzielala ciepłą wodę bokami, i porwawszy w garście płynu, bryznął nim
w ślubne lica żony. Na dalsze zabiegi nie było już czasu, gdyż szynami wtoczył się
na peron sam pociąg, dzwoniąc łańcuchami, kipiąc rondlami, tłukąc tłokami, gwizdząc
konduktorem, wyglądając pasażerami i wyrzucając z siebie fupy proletariackie, kłębią-
ce się tak i siak, jak garść potępieńców. Pasażerowie poczeli włożyć na siebie, zbrojni
w kufry, koszałki, tobołki i opałki, krzycząc tubalnie. Lecz hrabia skinął dłonią... Mo-
tłoch zakołysał się i rozstał się pod wrażeniem oczu magnata. Lecz niejedna pięść
wyszczerzyła się ku niemu nieznacznie i zaledwie hrabia Dolary miał czas zniknąć po
angielsku w głębi wagonu sypialnego z przewieszoną przez ramię Stenią, gdy nad głową
gwizdnął mu kufer, rzucony wprawną ręką.

— A! rozumiem — syknął hrabia w siebie — więc jednak bolszewizm! — Nadał
niedu przyplaszczony tłumem cylinder, cucąc nieprzytomną.

Wkrótce wagony wchłonęły część pospólstwa i wówczas z okna sleepingu wyciągnęły się twarze nowożeńców. Stenia siłała się na rumieniec dziewiczy, by nie zrobić matce zawodu, ta ostatnia zaś dawała po cichu rady i wskazówki Dolaremu, które on przyjmował z sarkazmem z lekka maskowanym.

— Pamiętaj, córko, o matce! Bogu! i reszcie rodziny! i o dzieciach! — wołała rozpaczliwie, głuszając wyświst lokomotywy.

Księżna Brunonowa Głuszcowa z Błot Poleskich, siostra bratnia hrabiego, skinęła na hajduczka niosącego torbę czystych chusteczek, stosowanych do powiewania, na których haftowane było wśród niezabudek życzenie szczęśliwej podróży. Goście momentalnie rozchwytali te cacka, a pan Dorycki, który ze wzruszenia słał się na nogach, zdążył tylko przytoczyć rodzicielskie westchnienie.

Po czym dało się wyraźnie słyszeć stereotypowe: Świeża woda! — i pociąg, kołując i skrzypiąc, posunął się z wolna ku wyjściu, dzięki zręczności maszynisty wyminął tłum, w którym przeważała ilość osób płci obojga, i zniknął na horyzoncie w kłębach kurzu.

Gdy Stenia wreszcie otworzyła zupełnie oczy, znalazła na nich wąsy hrabiego, a na ustach jego usta. Lampa zaćmiona była do połowy — miękkie, czerwone aksamity ćmiły zmysły. . .

Stefania, milcząca dotąd, krzyknęła z buntem: — Wody! — mdlejąc padła mu w ramiona.

Równocześnie mdlały cierniowe cieliste róże w brutalnym zetknięciu się ze ślubnym indykiem, tą prozaiczną rzeczywistością każdego weselnego bukietu.

Rozdział dwunasty

Tymczasem hrabia Zenon, sprzykrzywszy sobie palmową Rivierę i złotodajne Monte, przerzucał się z miejsca na miejsce na podobieństwo sławnego Globa Trottera.

Wreszcie osiadł w Wenecji, upijając się cudownymi kanałami, które krajowcy hodują na tej na wskroś włoskiej wysepce. Zamieszkał tamże w hotelu specjalnie dla amatorów przeznaczonym, zwanym na pamiątkę sławnego doży „Albergo”.

Zenon nie opuszczał prawie swych świetnych apartamentów, chcąc odzyskać salonowy spokój po nieco nużącym szczęściu z hrabiną Iry, która ścigała go wszędzie, jak ściga jeździec konia, na którym siedzi.

— Aaa. . . — przeciągnął się hrabia ruchem arystokraty, przy czym zaszeleściła jego prawdziwa pyjama. Zapalił długiego fidibusa, zaciągnął się jego wonnym dymem, który odstraszał maleńkie owady, zwane przez krajowców mustangami, które godziły w łabędzie popiersie magnata, po czym przegryzł ostrygę, nie zważając na jej ciche i niewymowne jęki.

— Ostrygi! — zaimprovizował z nagłą — przypominacie mi jedną duszę dziewczęcą, jak wy obojętną i oślizłą od moich łez. . . Stenia! — szepnął do siebie.

— Ach, laguno! — ciągnął wpatrzony. — Twa słoneczna topiel faluje w dal, jak jej atłasowe piersi, w tym, niebo włoskie, jedyne zresztą w swoim rodzaju, masz dzisiaj wyraz jej nieoszacowanych źrenic. — Roześmiał się szaleńczo, ściągnął na czoło kiść czarnych jak noc poślubna włosów i przypomniawszy sobie, że od rana nie miał jeszcze kielicha w ustach, krzyknął wyzywająco: — Sam! Tu!!!

I rzeczywiście w tej samej chwili stanął przed nim jak na zawołanie wierny Negr, w otoczeniu tacy, miodu i kryształowego rzniętego roztruchanu. Po czym z uśmiechem znaczącym niewiele, który jednakowoż wyłaniał jego zęby potrójnej białości, rzucił Ze-

nonowi w serce tubalny bukiet egipskich tytoniowców prima sorta, pachnących bezgłośnie, lecz mocno.

— To od hrabiny Iry! — rzekł łamaną cudzoziemszczyzną przechylając się znacząco do ucha hrabiego.

— Do wody z nimi! — zachłysnął się groźnie magnat, rzucając w kąć kwietny dar.

Murza zmieszany, obawiając się, by nie ściągnąć na siebie gniewu hrabiego, wyszedł zwyczajem krajowców na głowie, wyręczając się nogami. Wtem ktoś cicho zaskomlał pode drzwiami.

— Proszę cię, Iro, carissima mia, bez tych czułych scen! Wiesz, że tego ścierpieć nie mogę. Wejdz, proszę — dodał nieco uprzejmiej i rozpląszczył się dokładniej na haftowanych w złote „Do widzenia” poduszkach. W tejże samej chwili w drzwiach stanęła kobieta, piękna jak samiec. Miała na sobie suknię comtesse żywego ultrafioletowego tonu, na głowie jej, niby złowieszczy gawron, siedział ciemnoszafirowy Napoleon, strojny laurowym wieńcem i jedną jedyną płomienną różą. Piersi jej podtrzymywał w pędzie płaszcz z szmaragdowego welwetu, spięty obręczą przedstawiającą lwa, pożerającego

świętego Marka. Wstąpiwszy w pokój zebrała się w siebie, robiąc przygotowania do skoku.

Zenon uzbrojony w niecierpliwość, schwycił wiszący pod ręką na ścianie hiszpański samopał i, skrywszy się za sędziwą kanapę, czekał bacznie, co dalej nastąpi.

— Zeni! — Zenissimo mio! — zaszemrał jej głos. — Ach! ja cię kocham do upadłego, do szału! jak piękna Filomena Baucyda. Ja bym cię gryzła w duchotę, w serce, ażebyś swą błękitną krwią ubarwił moje blade jagody. O, najdroższy! po raz ostatni całować twe opadające płaty ust, a potem zadusić cię w uścisku i zgiętymi szponami szarpać twoje piękne kości!

— Hm! — przeciągnął się hrabia — przesadzasz, moja Iro, chciałem ci właśnie jako džentelmen powiedzieć, że mi się już samemu znudziłaś. — Ach! żeby zamiast ciebie stała tu Steńka, to ptaszę kresowe, nie popasałbym tak długo za tę prześliczną wenecką kanapą. Tyś za gorąca kobieta dla mnie, jam się gotów na tobie sparzyć.

Na wzmiankę o Steni zerwała się hrabina ruchem błyskawicy. — Ha! — krzyknęła — znów wzmiankujesz o tym gołębiu do niczego. Patrz! — mówiąc to wyciągnęła

jak z rękawa gazetę przeplataną gęsto czarnymi literami i jeden z artykułów podsunęła mu pod oczy. Zenon przeczytał cicho mdlejącym wzrokiem:

„Dnia dwudziestego marca odbył się w parafialnym kościele w dobrach ziemskich hrabiego Dolary La Znajda-Chłapskiego w pełnym i odpowiednim rynsztunku, z tłoczącą pompą i paradą, ślub wyżej podanego ze Stefanią Dorycką, córką swego ojca i matki z Rozwydrzów. Do ślubu trzymał państwa młodych sam arcysufragan parafialny, eminenca Pypeć. Pannę młodą, ubraną w ślubny kobierzec i okazjnie nabyty wianek, podtrzymywał podczas wiązania rąk stary Dorycki, zaś pana młodego, odchodzącego od zmysłów ze szczęścia, podtrzymywała bogobojna Fiuma baronowa Głuszcowa. Cały obrządek był wzniosły i miał pogodną cechę nadziei lepszych chwil. W gronie weselnym przodowali hrabiowie Chłapscy i Tulejscy, hrabiowie Pała Susłowski, Tulajdonsa, były ban kroacki, wraz z czcigodną banią, goszczący na łowach następcą tronu książę Kaligulski, baronowie Didolić i Spić, i wielu innych. Za nimi skromnie toczyła się zaproszona brać artystyczna, a więc: muzyk pan Józef, artysta malarz pan Adam, formista hrabia Wybuchpolski i sławny rzeźbiarz mistrz Paraszczol. Po uroczystościach kościelnych wesołe grono podążyło truchtem do dworu, gdzie dopiero zaczęły się prawdziwe

ceremonie, urządzone przez gościnnych państwa domu. Po prawdziwej tantalusowej uczcie, przy której goście jedli masowo i hurtownie pili, a która przeciągnęła się do późna, zaproszony z łaski hrabiego muzyk skomponował na kolanie kołysankę Griega, czym podniecony artysta malarz zrobił a'la minute generalną naturę morte z gości weselnych, a malarz skreślił naprędce pejzaż salonowy ze szczerym odczuciem przyrody. Sztuczne ognie i mowy trwały od wieczora do późnego ranka i na odwrót. Po czym goście ślubni, zadowoleni i rozbawieni, rozjechali się, gdzie kto mógł. Zaś pan młody odwiózł panną młodą w podróż poślubną do Włoch”.

Zenon wypuścił z rąk gazetę i potoczył się jak piłka z kanapy na bogatego białego niedźwiedzia, którego skóra okrywała starannie podłogę.

— Steńko moja! — szeptał — otom zabit!

— Masz swoją Steńkę, masz! bierz ją sobie, gdy już twoją być nie zechce!

— Aaa! — poderwał się Zenon ostatnim dreszczem — a! precz stąd, ty psie! Ty mój demonie! Ty mój wampirze przeklęty! I spróbuj cha! cha! cha! przyjąć tu jeszcze, a służba hotelowa cię poszczuje, ty suko! aaa! — i padł w objęcia kanapy, lecz bez zmysłów.

Rozdział trzynasty

Gobelin czołgał się po ziemi, kradnąc ostatnie promienie słońca. Pokój oddychał wykwintem i kultem piękna, dobra i Tatr. Na stolikach leżały albumy z widokami z Sorrento i Szczawnicy, na konsoli spoczywała muszla wielkości naturalnej, której dzwoniło w uchu. Praktyczny góral drewniany i także szarotka budziły w duszy zakopiańską tęsknotę za czymś innym. Mimozy, czerwieniące się za lada dotknięciem byle kogo, kapały złotem na podłogę i sufit, pachnąc rozzwierająco. Żałosne kwiaty, które natura skazała na wieczne dziewictwo!

Na lekturze też nie zbywało. Na stole, odbijając się w lustrzanej politurze, leżały książki o treści dosadnej „Ordynat Michorowski” i „Hamlet”. Na ścianie wisiało dzieło przedstawiające „Zacisze”, sławnego mistrza pędzla, który straciwszy na wojnie obie nogi, zastępował je znakomicie rękami, jak to z obrazu wnosić było można.

Cudne to mieszkanie było własnością młodych hrabstwa Chłapskich, a położone było w Wenecji włoskiej, przechodzącej pięknnością Wenecję wiedeńską, a nawet krakowską. (Podobnie jak dom egipski w grodzie Kraka nie daje nawet w przybliżeniu tego wrażenia, co sam Egipt ze swoimi piramidami, odaliskami i Sfinksem o szlachetnym profilu).

Piękna kobieta czesała się właśnie. Jej złote loki rozrzucone były po ramionach, poniżej pleców i po całym pokoju. W przerwach zagryzała kurczęciem, leżącym przed nią z wątróbką pod pachą. Skończywszy, podniosła się i podziwiała piękność swego Teagowna. Było ono błękitne w złote komary, przepasujące pierś pasem kaukaskim.

— Piękną jestem. — Je suis belle... — szepnęła. — Piękniejszą jeszcze niż wówczas, gdy się we mnie Zenon kochał... Zenon! — i westchnęła, ale wnet uśmiech nie dbały, szydarczy, grecki rozjaśnił jej lica.

Piękną była w istocie. Oczy jej rozrosły się jeszcze po ślubie, a także usta. W rozdętych nozdrzach uzmysłowił się namiętny anioł poświęcenia, biała ręka nabrała błękitnych arystokratycznych żyłek, i w istocie było jej do twarzy z zanurzeniem w kędziory jedwabiste charta imieniem Child Harold, który przyszedł łasić się i ocierać o jej kolana.

Cera jej stała się wprost już uryjańską, malowała się na niej jednak złuda i niepokój, a także pieprzyk. Ściągnęła swe sokole brwi i obróciła się myślami het, ku tyłowi. Dzieciństwo, słońce, poranki, rezedą pachnące... Dziewczętko w bieli, naiwnie wierzące w życie i użycie... Niestety! Niestety! Choćby z najlepszego mydła zrobiona była bańka, pęknać musi z głuchym łoskotem — i jego czerepy zostają. Poczęła targać własne włosy i gryźć je w rozpacz.

I przypomniały jej się słowa kiedyś słyszane: „Kobieta dopiero wówczas staje się kobietą, gdy wzbudzi choć w jednym mężczyźnie uczucie metafizyczne”. Podparła ciężkie skronie i szeptała gorzko:

— Tak, pewnie... Dolary... on kocha... wszak otacza ją słodczą pieśszczot, ciast i cukierków, jak Lukrecjusz swą żonę. Znosi jej futra i klejnoty, niedawno zniósł jej

pasztet sztrasburski z truflami i perłami w środku — tak! Ale czy taka miłość może wystarczyć dzisiejszej kobiecie?

Nagle drzwi ustąpiły miejsca Dolaremu. Krótki i węzłowaty, ubrany jednak według ostatnich zachcianek, przedstawiał się dość wystawnie. W ręku niósł kilka tutek o tajemniczej zawartości.

— Confetti! — zawołał z włoska i obsypał płaczącą gradem klejnotów oraz smażonych maronów. Stenia, śmiejąc się przez łzy, zasłoniła się pokojowym parasolem chińskim przeznaczonym do bawienia gości.

— Cudna jesteś jak corpo di Bacco! — dodał, zajmując się jej ustami, lecz ona z niesmakiem śledziła jego ruchy. — Brakuje ci tylko ptasiego mleka — chełpił się — widzę żal za nim w twych oczętach z lapis lazuli. Zresztą masz wszystko! Łyżki, banany, papiery, paczki i tyle przedmiotów drożyźnianych!

— Ale w złoconej klatce! Dziękuję — sarknęła.

— Wyobraź, sobie, spotkałem dziś tych kochanych Głuszców i... — rzekł Dolary zmieniając temat.

— Nie rób plotek, Dolary, wiesz, że tego nie znoszę. Zawsze musisz o czymś mówić.

— O! popadłem w niełaskę — żartował podrażniony i dorzucił:

— Aa! Hrabio Chłapski, przypomnij sobie jedno stare polskie przysłowie, że śmierć i żona od Boga przeznaczona — czyli wszystko co najgorsze.

Stenia nagle syknęła, wstała z kanapy, zrobiła mało znaczący ruch ręką, zawahała się i bez namysłu wyciągnęła zza piersi buteleczkę wypełnioną zielonawą cieczą.

— Absynt! — zrozumiał Dolary — ale już było za późno. . . Stenia piła spazmowo, by zamorzyć się alkoholem i zapomnieć o ciężkim pobycie z mężem. Hrabia doskoczył, gdy już ścierała sobie usta chusteczką nosową.

— Co czynisz?! — wrzeszczał — gu'a tu fiche, Stephanie! — Przekleństwo niech będzie temu numerowi 1136 i tej Wenecji, tej perle Adriatyku — tej kanalii grandę — dodał pośpiesnie, przypomniawszy sobie uprzykrzone kanały.

— Nie płacz, Dolary — mówiła, zapadając w głęboki sen. — Tak mi dobrze, tak lekko, płynę po niebie, idę drogą mleczną, widzę wielki wóz wiozący wielką niedźwiedzicę, gruby warkocz Bereniki i złowrogię Marsa na twarzy nieba. . . Bóg myśli o mnie — szeptała wśród gwałtownej czkawki. — Po chwili zarzuciła ręce na plecy krzesła i zasnęła twardo. Komnatę zaległa upajająca woń ciszy — a Dolary siedział

z czołem wspartym o współczującą swoją własną pierś, słuchając bicia dwóch serc i jednego zegara.

Rozdział czternasty

Hrabina Ira wyszła z trzaskiem z uroczej palarni Zenona, wzburzona jak stare wino. Wtem potknęła się o jakieś czarne mięso, leżące wpłask pode drzwiami. Spłoszona, rozdęła chrapy i zarżała przeciągle, bo oto bezkształtna masa dźwignęła się ociężale, przybierając wyraźniejsze już zarysy zwierzęcia lub człowieka, i zniecka zaryła białe kły w jej suche nogi rasowego bułana. Był to Sam Zenona, który od dawna już gorzał do pięknej diablidy.

— Ja was kocham, hrabini! — jęknął obcesem.

Ira, czując nagle, że i ją ogarnia szaleństwo, broniła się ostatkiem przytomności. Murza wywracał białka do góry nogami i dyszał ciężko. Wkoło niego krążyła jakaś perfuma azjatyckiej wanilii, drzewa, które rodzi sandały, i hizopu.

Wtem ktoś za ścianą kichnął na zdrowie — po czym wszystko ucichło. Negr odskoczył jak urażony piorunem.

— Massa mnie wyzywają — mruknął przez zaciśnięte zęby, gniotąc zaś jej rękę, na pożegnanie szepnął:

— Nazywam się Sam, a pochodzę z tych Bwana-Kubwów, którzy giną, gdy kochają.

— Sammy! — odparła wzruszona, nie pojmując, co się z nią dzieje. — Samissimo mio, ja czuję, rozumiem w tobie mój renesans, tyś moim odkryciem Ameryki!

— A teraz żegnaj, bella brunetto — mówił Negr. — Jutro — dodał porywczo — Ponte dei Sospiri — maska — szachownica — dziesiąta wieczór — a potem — spojrzął sam w siebie i szepnął tajemnicze słowa, których Ira zrozumieć nie mogła:

— Wielki Maramba czuwa nad stworzeniem swoim, nasyła jastrzębiowi kolibra, kolibrowi kwiat pełen miodu, krabowi orzech kokosowy, kokosowi masło, jeżowi jabłka, a biednemu Murzynowi tłustą sahibę. . .

Pożegnał ją skinieniem głowy i znikł w czeluściach ciemnej szatni.

Gdy na bujnym, czarnym niebie zamigotał księżyc złowrogo, zaświeciwszy swoją ogromną żarówkę, zaś zebrana publiczność na placu Świętego Marka wsączyła się po kropli pod arkady boskiego Floriana, patrona ciastek i cassaty, którą niektórzy ciągną przez maleńkie bambusowe trzcinki w kształcie słomek — na historycznym Moście Westchnień zabłyśły dwa światłocienie — męski i żeński — czarne oba, choć jeden gęściej.

— Jestem — odburknął się pierwszy.

— To Sam! — podchwycił drugi i... błysnął otworami maski, po czym, nie zważając już na pozór, zawiesił się na szyi towarzysza, jak się wieszka dojrzała gruszka na młodej wierzbie... A róże purpurowe w jej włosach roztoczyły woń upojną.

— Czy kochasz mnie, piękny pucharze oszołomień? — zadźwięczało pytanie z ust pierwszego.

— Ty... lub śmierć! Jak mi życie miłe — szepnęła hrabina, bo ona to była przebrana w płaszcz z kapiszonem.

Szept: — Skorpionie ty! O, mój dziki! — moja ciemnoto! Samie! samcze mój upojny!... — bezwarunkowy brunecie! — Mów o sobie, o silne bydlę hebanowe ty...

Więc począł mówić:

— Kto jestem, hrabini? — jam jest... mit... ach! ludożerca!... O! nie bój się pani!... Tylko ust mi twoich potrzeba, o ostatnia i jedyna...

— Oto masz, oto są! — szepnęła. — Ach! dziwnym dreszczem mnie przejmujesz, ty czarna mszo Befometa!

— Pozwól!... — szepnął i napoczął jej lewy policzek, aż syknęła... — O Bwana-Kubwa! Kocham cię!

— Lecz bądźmy lepiej przyjaciółmi — rzekła po chwili Ira, której serce zjeżyło się gehennym strachem. Dziwny lęk obosieczny przeszył jej piersi. — Ludożerca!... — zadzwoniło jej w głowie.

— Słuchaj, Sammy — szepnęła mu w usta — mnie tak potrzeba dobrego czarnego serca, które by dla mnie tylko biło. Uczynię cię podstolim swoim, nigdy głodny spod stołu nie wyjdiesz, będziesz moim ukochanym tresowanym psem, postrachem moich dzieci! Czycielem szatana! Czym chcesz! Tylko puść! Ach! puść mnie z zębów!!!

Lecz on z szału ogłuchł jak niemy i tylko szeptał:

— Tak będzie lepiej nam obojgu, pożrę cię, pochłonę! Będzie ci dobrze u mnie. A imię nas dwojga. . . Maramba! — Tylko nie przeszkadzaj, cudna Desdemono.

Ściągnął z jej rąk i szyi drogocenne bransolety, odrzucając je precz do swoich kieszeni. Chwycił ją karkołomnie i rzucił o ziemię, choć próbowała bronić się sztyletem, który wyciągnęła mu zza pasa, a który wyrabiany był z psiakości.

— Odejdź! — wołała rozpaczliwie magnatka, poddając mu się prawie resztką przytomności. — Jak śmiesz wykorzystywać chwile mej słabości, ty przeklęty synu nocy! Ach! odejdź, pókim cała!

Lecz Murzyn wypiął na nią czarne oko i wyciągnął przednie łapy. W potwornych zębach jeły trzaskać jej zdobne obojczyki, jej żebra rzeźbione wytwornie jak sprzęty ze stalaktytów.

— Ach! — szepnęła. . . — puść już. Schowaj trochę na jutro. . .

. . . Rzęzenie. . . gruchanie kości łamanych, — Styks — pożądanie! . . . zmącenie się dwóch potęg. Wcielenie atomów obcego bytu w otchłań własnego ja — pożeranie miłości przez głód, głodu przez syt — sytu przez ciszę. — A imię nas dwojga — Maramba!!!

Z mostu płynęły westchnienia. Kojące fale... Słodkie wody kanału... Cisza... Tylko ktoś... jakaś czarna praforma zdążyła szybko przez ciasne uliczki, dudniąc piętami Achillesa i trzymając w ręku podejrzaną zawartość zawiniątka oraz czyjeś jeszcze gorące serce, które widocznie morderca zatrzymał sobie na pamiątkę, z wahającym się nad nim płomyczkiem życia...

I tylko wielka plama na Moście Westchnień świadczyła, że była tam przed godziną piękna Ira... — ostatnia hrabina Wampir.

Rozdział piętnasty

Południe wałęsało się około dwunastej, gdy hrabina Stefania, w haweloku i prawdziwym czarnym rembrandcie, schodziła stopniowo i spokojnie ze schodów. Wtem wzrok jej padł na zmysłowy hieroglif męskiej postaci, rozmawiający zuchowato i bez śladu zmieszania z dostojnym portierem, gestykujący żywo rasowymi kończynami. Nieznajomy, gdyż on to był, rzucił temu ostatniemu kieszonkowe do czapki i skierował buty ku wyjściu. Nagle zbladł od ucha do ucha. Jeden rzut oczu! Błyskawica poznania, oślepiający bumerang odesłanego spojrzenia. „Zenon” — świsnęło w głowie hrabiny. Poczęła chwiać się na wysokich szampańskich korkach swych bucików szewro

z krótkimi i filuternie zadartymi noskami, przypominającymi żywo miniaturowego nosorożca, mieszkańca zarośli. Potem osiadła ciężko na schodach, nie zwracając uwagi na pozory. Piękna twarz Zenona, na której umieściło się jego dwadzieścia pokoleń, zwiśla bezradnie.

— Stenia — szepnęły zwietrzałe martwe usta. — Hrabina Chłapska — poprawił się z taktem. Jeden sus, i już był przy niej, okładając jej ręce wprawnymi ustami, spokojny, zimny jak prawy syn Albinosu.

— Pani Stefanio! Hrabino! Pani tu! Przyjechałaś do Wenecji? Odpowiedzże pani, bardzom ciekaw... Ależ pysznie wyglądamy — drwił dalej bezlitośnie, całując jej mdlejące palce. — A mąż w numerze czy gdzie indziej? — dopytywał się brutalnie, depcząc sobą cygaretkę. — Muszę przecież temu panu złożyć uszanowanie, cha! cha! cha! — Noblesse oblige! — Sygnał i drgnął. Ale widząc, że Stefania zawahała się w posadach i lada chwila runie, zmienił momentalnie ton, podtrzymując ją ledźwią ramienia.

— Proszę nie mdleć! — Żadnych konwulsyj — mówił. — Proszę pamiętać, że to ja jestem mężczyzną, a pani kobietą. — Gdzie siła? Ludzie! — ostrzegł miarowo. — Baczość! Tak, bene.

Ciągnął ją jak dziecko za rękę, raz po raz, trzy po trzy, aż doszli do apartamentów hrabiego, pachnących dziwnym piżmem.

— Aa! — oprzytomniała nagle Stenia, gdy znaleźli się w sam na samie pokojowym. — Miej wzgląd, Zenonie, na moją wierność małżeńską, zlituj się nad moją dumą. Och, Zenonie! — łkała — jam tak bardzo zamężna i nieszczęśliwa! — Za późno! Za późno, mój panie! — jęła z cicha jak sławny dziad, co bił we dzwony. — Po śmierci — szepnęła zwiewnie — nie mówię... zobaczymy!

— Cha! cha: — szydził Zenon. — Ma się hrabinie do śmierci jak mnie do ćwierci. Zresztą, chciałem panią tylko uratować od skandalu, rien de plus. Już ludzie wybałuszyli na nas uwagę. Nie trzeba motłochowi dawać igrzysk aż tak olimpijskich. Ale może dymu? — wycedził, podsuwając jej pod nos hawańskie cygaro.

Chwilę trwało przykre milczenie, po czym Zenon wytwornym ruchem wyciągnął miniaturową łopatkę do ucha i począł z wdziękiem grzebać w tym ostatnim.

— Pamięta pani — ciągnął — Stenię Derycką. Ach! to był kwiat aloesu, który kwitnie tylko raz do roku w noc świętojańską. Jak to ona cierpliwie tokowała na stanowisku czekając na rysia lub misia, a wracając z nieżywym gawronem u piersi. Całowałem jej

usta, hrabino, cha! cha! a pocałunek to ślub dla czystych dziewczyc, a także i mężatek. Zapomniałaś o tym, nikczemna!

— Nie mówmy źle o umarłych — przerwała mu blado Stenia.

— O tak! nie mówmy. A ja, który wierzyłem! Niestety, mądry człowiek bywa najczęściej głupim. Ach! Kobiety! Kobiety! Wy jesteście jak groch o ścianę. Lalki!!! — parsknął.

— Zenonie! — załkała już wprost całunowa Stenia — wszak to ty! To ty mnie niebacznie opuściłeś!

— Milcz, nieszczęsna! Ja cię zdradziłem chwilą! Ty... życiem całym. Można kraść, ale można i rabować, jak powiedział nieoceniony nadczłowiek wielkiego filozofa Nietzschego. Skończyłem. Sam! — krzyknął na schowanego w drugim pokoju Murzyna. — Wyprowadź, proszę cię, signorę, zrobiło jej się ciemno przed oczami, więc ty może lepiej niż ja odprowadzisz ją do jej pokoi, a jako Murzyn nic na tym nie stracisz. Addio, comtessa! i buona notte, hrabino Chłapska.

* * *

Stenia zasłała i nie opuszczała pokojów przez kilka dni, czym znudzony Dolary wyjechał na krótko za granicę.

Teraz otworzyła okna i westchnęła. — Ach! gdyby on, mąż, kochał ją naprawdę, jestestwo, toby nie dbał o ważne interesy natury praktycznej i wolałby nurkować z nią gondolą po lazururowej piersi laguny.

Nagle ktoś znieacka zapukał do drzwi. Stenia domyśliła się, że to hałas, więc nie szła otwierać. Lecz nagle drzwi same się rozpostarły, jak trafione kluczem w zamek, a w nich ukazał się Sam, niosąc bilet, a poza tym tacę. Złożywszy zaś to na stole, brzdąknął coś fałszywo na strunach nosowych, po czym schował głowę w ramiona i już go nie było, tylko pozostał po nim typowy zapach czarnego boxcalfu. Stenia skwapliwymi palcami przycisnęła do ust pismo Zenona i chciwie połykać zaczęła. „Stefanio” — brzmiał list mniej więcej, a kończył się: „Twój Zenon”.

* * *

Gdy okręt, pieniać się, robiąc bokami i puszczając kółka z wonnego dymu, uderzył o brzegi Triestu, pasażerowie poczęli tłumnie lądować, ciągnąć kufry, żony, pudła, nierzadko warkliwą dzieciarnię. Hrabina Stefania wypychała tłum pięknym biustem. Ubrana była w czarną atłasową „lawentennisową” suknię z bujającą swobodnie na szyi srebrną kotwicą z brylantowym oczkiem. Zielony aksamitny kapelusz z bażancim ogonem i buciki białe na gumowych podszewkach dopełniały stroju. Rozejrzawszy się dokoła ujrziała oczekiwany samochód, wypełniony szoferem, Zenonem, a także aksamitnymi poduszkami. Z boku stał zdradziecki Murzyn, zapraszając ją małpimi ruchami do wnętrza. Na jej widok palacz nie pytany rzekł: — Dzień dobry — a Zenon milczący dotąd, skłonił się jej fantazyjnie ręką, głęboko. Lecz Steńka nieruchoma wykonywała niezdecydowane ruchy, wpatrzona uporczywie w Zenona, jak wierna żona w swego pogromcę, ręka jej o niewypowiedzianej białości gładziła z hrabska nadęty pneumatyk, a kąciki ust drgały konwulsyjnie.

— A teraz ruszemy z kopyta stu koni; pozwoli dogaressa? — szepnął Zenon, rasowo wyglądający w paliowej zarzutce i skórzanej czapeczce z dziurami, przez które wyglądały gdzieniegdzie jego oczy i uszy. Steńka nie odpowiedziała pochłonięta widokiem samochodu, który podrażniony dreptał na miejscu i przestępował z koła na koło. Cylindry na potwornych łożach osadzone, pękały pod naciskiem pary. Szlachetna machina rwała się do skoku.

Zenon podstawił nogę Steni, a ona, nieustraszona, oparłszy się o nią oburącz, osadziła się zalotnie wewnątrz purpurowego urządzenia. Otuliła się futrem z prawdziwych śmierzdzieli, które na nią w wozie czekało, i uśmiechnęła się blado. Wtem wóz zatrafił. Na to hasło Zenon i szofer rzucili się ku niemu i zajęli miejsca na oślep. Ostatni czas już był po temu, gdyż potwór powoli ruszał z miejsca. Szofer z przytomnością umysłu zdążył jeszcze pochwycić korbę i automobila potoczyła się wesoło po szosie.

— Ukochany! jak bosko — szepnęła Stenia, a ujrawszy w jego oczach majestatyczny bezgłęb miłości, zaciągnęła pokornie białą krepę na twarz koloru szkarłupnia, skrzyżowawszy ręce na piersiach jak do modlitwy. Zenon nie mógł dłużej panować nad sobą.

— Gdzie twe usta, bożyszczcze?! Wymagam!... Chcę!... — szepnął zdławionym głosem.

— Pod nosem masz... — odszepnęła z bólem i łzy ofiary stanęły w jej oczach.

Wstrzymał więc nieco pęd wyuzdanej maszyny i obróciwszy się ku niej śmignął ją przez twarz kochającymi wargi. Samochód wił się obłądnie po krętych górskich drożynach, dudnił po mostach, wypryskiwał wodę w strumieniach, trąbił dziko... Pędzili jak los w rękę Boga, mijając budki dróżników, góry i stodoły, przejeżdżając w szale ptactwo przydrożne, psy przybłądy i co drobniejsze dzieciaki. Pędzili, nie zważając na kobiety, które zaledwie miały czas przebiec na drugą stronę, jak im to nakazywał ślepy, nie wytłumaczony niczym motyw samozachowawczy. Inne znów nie miały czasu nawet zeskoczyć z fury siana wprost pod automobil. Krowa zapiąła przejechana z nagłą, a takież pies zaskomlał nieludzkim głosem, kręcąc się w kółko jak życie... jak... śmierć!

Stenia, w półomdlą, upajała się jednak tym zabójczym pędem.

— Och, nie tak prędko, Żeni! nie tak gwałtownie — niepokoiła się — urwiesz korbę!

— Bez lękwia! — odpowiedział. — Czy pamiętasz, boska, porwanie dzielnych Sabinek w Watykanie lub porwanie Europy i Afryki przez Jowisza?

Lecz dziki strach stłumił rumieniec nieszczęsnej. — Poczła się bowiem nagle matką.

— Zeni! ściągnij przenośnie — błagała resztą sił. — Wolniej, wolniej! Miej litość nad nami! Och! mnie wcale nie rażno! Czy słyszysz, hrabio?!

— Czego się bogi greckie tak boją? — śmiał się Zenon. — Wszystko będzie dobrze, zaśniemy wnet na wieki.

— Dlaczego na wieki, ukochany, to za długo. Skąd ci takie lata na myśl przyszły. Czy ci słabo, Zenonie?

— Ach! kiedyż przestaniesz być nareszcie kobietą, ty niepoprawny dzieciaku — gromił trąbiąc jednak na palacza, by popędzał maszynę. — Godzina szczęścia lepsza jest, wierzaj mi, niż wieki nieszczęścia i bólu.

Stenia poczęła cicho łzczyć, zaś palacz nacisnął nogą tłoki, co spowodowało łoskot, i auto poszybowało na przełaj przez piaski, zasiane pola, ludowe szkółki dla winogron

i daktyli, przez prostackie wsie, kurne i kacze chaty, zostawiając za sobą popłoch, przekleństwa, zgliszcza i swąd. . .

Nagle na zachodzie ukazało się ogromne, wodą błękitną wypełnione morze. Stado bałwanów pieniać się i sycząc, podpłynęło ku nim i cofnęło się z powagą, właściwą bałwanom, zostawiając po sobie wodorosty, płaskie flądry i pumeksy, a co ważniejsza, biżuterię, jako to: perły, korale, muszle etc.

— Hrabio! — zawyła Stenia, dławiąc się i krztusząc strasznym przeczuciem. Widziała przed sobą już tylko kurczową postać Zenona, pracującego w pocie czoła przy sterze, i piekielną pawaną wirujących w jej oczach osad rybackich, żółtych piachów i okrętów towarowych, zdążających do morza.

— Hamuj się, Zenonie! — krzyknęła kobieta — nie zabijaj! nie chcę!

— Ani słowa, najdroższa! Diabli rozpętali się we mnie. Czy słyszysz, jak wołają na nas szatańskim wywieszonym językiem — hi! hi! hi! Jazda, palaczu! Złym mocom prosto w mordę!

Nastała haniebna, ciężka cisza, pomimo że pomrok zapadł i zapalały lampiony samochodowe, jak miłośnicie zażawione oczy potwora zwanego Apokalipsą Świętojańską.

— Bosko jest umierać z tobą — szlochała Stenia — ale bościej byłoby żyć. Słuchaj! wróćmy do męża. Będzie nam dobrze we troje, zobaczysz!

Zenon zamilkł, lecz wkrótce opamiętał się i strasznym wysiłkiem porwawszy w ramiona palacza wyrzucił go daleko przed siebie, nie bacząc na jego prośby i usilne rżężenia. Co widząc maszyna, samodzielnie puszczone, jęła się w straszliwym pomieszaniu kotłów staczać z wolna z nasypu w dół, ku zachłannej gębie Adriatyku.

— A teraz, najdroższa! — uśmiechnął się nieustraszony Kotwicz — un poco d'amore. — Porwał ją w ramiona, lecz nagle urwał i zalał się pianą, gdyż auto, samochodem idąc, zaryło się przednimi koły w bałwana, syna morza, a tylnymi stanęło rosochatego dęba, wypływając z siebie nieszczęsne ofiary sportu namiętności.

— Wody! Doktora!... — ja mdleję! — bełkotała Chłapska odpychając natrętnego bałwana i cicho odchodząc na dno.

Zenon, mimo woli oddalając się, płynął w rozterce. Lecz mątwą strzegącą wybrzeży zrozumiała lepiej naturę ludzką i, wypływając na nich swe oślizłe oko, otuliła oboje jak matka tysiącem długich macek, zaś jej łasy odwłok wzdał się gniewem zadowolenia.

I oto po tylu trudach i cierpieniach ta para kochanków brała wieczyste śluby, połączona przez głowonoga, inaczej sepię, która już przedtem służyła do wielu arcydzieł wielkim malarzom renesansu, a to w szczególności Buonarrottiemu, świętemu Sowirowi i Starej Palmie.

* * *

Farbowaną tafłę morza zaległa zwykła cisza, przerywana tylko pękaniem drobniutkich baniek i odległym turkotem samochodu, który się uratował i odjeżdżał w dal piaszczystą, do garażu. Wiatr morski zerwał mu cylinder i uniósł daleko, ale motor był nie naruszony.

A na dnie prątopieli wznosiły się dwa morskie anemony, szczęśliwe, bo dalekie od świata, jego złości, nędzy i zakwitających rokrocznie tysiącnych powieści.

Kręgowata — Jak by napisała powieść współczesną Helena Mniszek

Traktor, niby potwór wschodni z czarnego onyksu, zwanego przez niektórych porfirem, przebierał niecierpliwie kołami, drepcząc na miejscu. Traktorzystka, siedząc na przełaj na małym, iście miniaturowym siedzeniu, krzepkim „Stój!” i „Hola!” zatrzymywała na miejscu rozpędzonego rumaka. Była piękna jak odbudowa ze swoją krótko ostrzyżoną czuprynką, której długie loki wiły się niby węże kobra na ramionach i poniżej. Spode łba wylatywały spojrzeniem jej olbrzymie niebieskie oczy o białku błękitnym

jak kwiat lnu, których żółtko czarne było jak jej spracowane, kobiece dłonie. Błękitny roboczy dres, malowany w polne kwiaty: anemony, orchidee i petunie, uwypuklał jej jak gdyby wyżłobione dziewczęce kształty.

Aktywista Michorowszczyk stał tuż obok traktora, ręką w wytwornej glacie rękawiczce gładząc spienione boki żelaznego rumaka.

— Ho-ho — rzekł kraszając wąsy uśmiechem leciutko drwiącym — do nie byle jakiej pracy zabieracie się, jak widzę. — Tu spojrzał na nią tak, że jej dziewczęca na wskroś twarzyczka oblała się pąsem róż Miczurina.

— Jam do trudów przywykła, hej! — odparła wymijająco i ręką nacisnęła sprzęgło, aby ruszyć naprzód, ale on jednym męskim ruchem zatrzymał ruszającą do skoku bestię i spojrzał przymilnie, niby dzieciak w oczy swojej babuni, w jej roziskrzone jak gwiazdy w wieczór letni, jak warkocz Bereniki lub Andromedy, źrenice.

— Stefo moja! — bąknął pomieszany.

Kochał ją pierwszym ogniem dojrzałego, stuprocentowego serca. Kochał i pragnął pojąć za żonę i aby ona to pojęła, ale dumna i harda, czując różnicę socjalną między sobą, prosta, wiejską dziewczyną, umiejącą zaledwie pisać: „be” i „me”, a nim, wy-

kształconym człowiekiem, niemal paniczem, wzbraniała się dopuścić do siebie owego żaru wszechwładnej namiętności, zwanej przez niektórych uczuciem.

— Nie jestem dla was Stefą! — odparła odrzucając dumnie w tył ostrzyżoną czuprynkę tak, że loki rozsypały się po kadłubie niesfornej bestii, i zaciskając hardym ruchem sprzęgło w swojej malej dłoni.

— Jam prosta dziewczyna — zachichotała jakoś złowrogo — a wyście wykształconym człowiekiem, na stanowisku. . . Co by na to powiedziała wasza matka, przewodnicząca spółdzielni? Pani przewodnicząca! — zachłysnęła się głębokim żalem. — Jam nie wasza! — dodała cichutko i łzy jak confetti posypały się po jej policzkach. — Mnie ot, polne chłopaki na przydział! Mnie ot, ten czarny ugór i jeszcze nie skopane skiby — zainteresowała się — mnie ot, czas leci!

— Śniegi ty moje białe — zamamrotał zmysłowym szeptem, którego wiew uniósł niby zefir loki z jej czoła. Ale ona dumna i harda była już daleko. Michorowszczak mógł już tylko słyszeć na horyzoncie warkot motoru i głuchy, niemniej donośny odgłos brony, uwieszanej u pługa jak grzebień do włosów jakiejś Carmeny, tancerki hiszpańskiej.

— Stefciu! — zachłysnął się. Nie usłyszała już tego. — Hardaś i mocne masz kręgi moralności. „Kręgowata” — dodał pośpiesznie i jakiś bolesny skurcz wykrzywił mu wargi. — I tak — rzekł z mocą — choćby się wszyscy czarci sprzęgli przeciwko nam, będziesz moją, moją w czasie i przestrzeni! W jednej izbie z kuchnią.

To silne postanowienie wdeptał nogą w ziemię niby syczącego gada. Chwilę stał niczym Kolos Rodyjski, jeden z cudów świata, mocno rozpięty na obu nogach, śledząc wzrokiem spieniony nurt rzeki u swoich męskich stóp. Po czym, zrzuciwszy z siebie wierzchnie odzienie, syknął tylko: — ZMYSŁY DO WISŁY! — i runął na opak w rwący nurt. . .

Posłowie

Książka i mysz

Myszka tą radę z ust swej matki słyszy:

„Jedz książki, a będziesz najmądrzejszą z myszy”.

Więc do biblioteki pewnej się zakradła,

Mniszkównę i Wallace’a po kolei zjadła,

Napoczęła jeszcze jakąś książkę grubszą,

I była coraz głupszą. . .

Zaś morał prosty z tej bajki wynika,

Że zależy, JAKIE książki się połyka.

Magdalena Samozwaniec

SATYRA Z WYŻSZYCH SFER

„Co dzień do kolacji Madzia przynosiła nowy rozdział swojej powieści *Na ustach, grzechu* i cała rodzina, zaśmiewając się, dodawała jeszcze jakiś dowcip, jakieś zabawne powiedzonko. Gdy powieść została ukończona, Madzia postanowiła znaleźć na nią wydawcę. Nie było to wcale łatwe, ponieważ wszyscy bali się... nie wiadomo zresztą czego. Czy oryginalnego wyskoku, czy też urażenia popularnej powieściopisarki albo wydrukowania pur-nonsensu, którego mogła większość czytelników nie zrozumieć? Parodia Mniszkówny przeleżała więc rok w wydawnictwie u Władysława Kościelskiego w Poznaniu, potem rok u Mariana Krzyżanowskiego w Krakowie, w końcu Madzia, z uporem koziołka, postanowiła wydać ją własnym kosztem.

Wymagana suma została dzięki Ojcu złożona w Krakowskiej Spółce Wydawniczej, która obiecała natychmiast przystąpić do pracy. Starsza siostra postanowiła namalować okładkę. Chodziło o to, kto napisze przedmowę. Jaś Starzewski poprosił Boya, który

pierwszy zajął się bredniami Heleny Mniszek, ale on odmówił nie wiadomo z jakich przyczyn.

W dostojnym salonie Starzewskich przy ulicy Sławkowskiej zebrało się grono, złożone z Lilki Pawlikowskiej i jej męża oraz Macieja Starzewskiego, którzy przyjechali z Warszawy, i Madzi z Jasiem. Wszyscy wspólnie zastanawiali się, jaki Madzia ma przyjąć pseudonim, bo przecież do tego literackiego figła nie mogła użyć nazwiska panińskiego, eksploatowanego już przez jej kuzynkę, Zofię Kossak-Szczucką, ani też nazwiska swojego męża, przyszłego dyplomaty.

— Może Star — rzekła głupio Madzia — niby że skrót od nazwiska Starzewska.

— Jaki ty tam Star — wzruszyła ramionami Lilka. — Gwiazdą jej się być zachcie-wa. . .

— No, to może. . . *Gawel Jaśko* — niby od Pawła Staśki, któremu też zadedykuję tę książeczkę — rzekła po namyśle Madzia.

— Och, jak już ona coś wymyśli! . . .

— Wiecie co — odezwał się nagle milczący dotąd Pawlikowski, znany ze swojego doskonałego dowcipu i bystrości umysłu — a gdyby tak *S a m o z w a n i e c!*

— Cóż to znowu za pomysł!? — zdziwiła się Magdalena.

— Och, jakaż ta Madziusia tępa! — wykrzyknęła starsza siostra. — Naturalnie! Car Samozwaniec i Maryna Mniszech. . . genialne!

Reszta towarzystwa przyklasnęła temu pomysłowi i od tej chwili Magdalena Kosak-Starzewska przekształciła się w Magdalenę Samozwaniec”.

Tak oto znana satyryczka przedstawia w *Marii i Magdalenie* swoje literackie narodziny.

Kiedy przed przeszło półwieczem, bo w 1922 roku, ukazało się pierwsze wydanie *Na ustach grzechu*, nie znano jeszcze młodej autorki i nie wiadano, do czego jest zdolna. Ale rychło stwierdzono, że zdolna jest do wszystkiego, skoro podniosła bluźnierczą, uzbrojoną w pióro rękę na niepokalaną Helenę Mniszek, celując w jej najcudniejsze dzieło *Tředowatą*.

Cios był tym dotkliwszy, że wystawiał na żarty rzecz traktowaną serio, pobudzał do śmiechu. A sukces — ogromny. I od razu zwiedzili się wszyscy, że ten żywioł humoru i satyry to nowy talent z rodu Kossaków — wnuczka Juliusza a córka Wojciecha,

znanych polskich malarzy, i siostra poetki — Marii Pawlikowskiej (jeszcze nie Jasno-rzewskiej). Magdalena Samozwaniec stała się sławna.

„Jest to kobieta jedna z najbardziej oczernianych — pisał Kornel Makuszyński — opowiadają o niej rzeczy straszliwe i zgoła okropne, że pija tylko kwas pruski i arszenik, że do atramentu dodaje musztardę, że co dnia ostrzy język na kamieniu młyńskim, bo zwykły nie wystarczy, że nie jest dokładnie ochrzczona, w kim bowiem diabeł siedzi, po tym święcona woda sływa jak po ceracie, że ma psa, którego nazwała Ordynatem Michorowskim i że pisze lewą ręką. . . Jest to czarownica zła i przewrotna, którą diabeł namawia, aby poniewierała świętościami polskiej literatury i aby nie bacząc na niewinne i czyste łzy, które wycisnęły z oczu ludzkich lube powieści Mniszkówny i Tumaniana albo tak rzewne romanse pana Staśki, pokpiwała sobie z nich. Straszna ta kobieta, potwór ten i bazyliiszek, uczynił rzecz nielitościwą, używszy laurowych liści tej trójcy romantycznej do kwaszenia kapusty”.

* * *

Na ustach grzechu — parodia znakomita, pełnej powieściowej struktury, dziś należąca już do klasyki, stała się od razu wydarzeniem literackim. Bo na pożywce Trędownej powstał twór nowy, na wskroś oryginalny, o samodzielnej fabule i wyrafinowanym humorze, żyjący własnym bujnym życiem.

Opowiadała mi pani Magdalena, że spotkały się kiedyś z Mniszkówną na uzdrowskim deptaku i ta... podziękowała jej za przysługę, bo jakoby parodia jeszcze bardziej rozreklamowała utwór, przeciw któremu powstała. Możliwe, ale...

Jeśli od roku 1909 (debiut Mniszkówny) do 1922 (debiut Samozwaniec) ukazuje się dziesięć edycji *Trędownej*, a potem — do 1938 roku — już tylko sześć, to może i dlatego, że jednak satyra zrobiła swoje?

Do 1939 roku *Na ustach grzechu* miało siedem wydań, w ilości około pięćdziesięciu tysięcy egzemplarzy, co w owych czasach było liczbą niemałą (oczywiście tylko pierwsze wydanie na koszt i ryzyko autorki). Po wojnie — trzy wydania książkowe i pięć w zbiorze pt. *Moja wojna trzydziestoletnia*.

Nie mierzyć się jednak satyrze z wyższych sfer z romansem z wyższych sfer, toteż nic dziwnego, że powieść *Samozwaniec* — lektura par excellence elitarna, wymagająca i inteligencji, i poczucia humoru — miała nieporównywalnie mniejszy zasięg i rozgłos niż powieść *Mniszkówny*.

Trędowata doczekała się trzech ekranizacji: z Jadwigą Smosarską i Bolesławem Mierzejewskim w rolach głównych w 1926 roku, z Elżbietą Barszczewską i Franciszkiem Brodniewiczem w 1936 roku oraz z Elżbietą Starostecką i Leszkiem Teleszyńskim. . . w 1976 roku. Również na serio, a la kuchta w pałacu.

Między pierwszą a ostatnią (?) wersją upłynęło pięćdziesiąt lat, i to jakich lat, ale. . . Nasza kultura filmowa wzbogaciła się o nowe dzieło, którego niestety nie doczekała zmarła w 1972 roku autorka parodii, a która w przedmowie do *Mojej wojny trzydziestoletniej* tak podsumowała swe potyczki ze szmirą. „Dopiero w dzisiejszej Polsce zakończyła swój żywot i możemy tylko zanucić nad jej nagrobkiem requiescat in pace”.

„Dzisiejsi czytelnicy młodego pokolenia — czytamy w tejże przedmowie — przeważnie nie znają owych powieścideł, których czołową przedstawicielką była Helena Mniszek. Gdyby je znali, oceniliby jeszcze bardziej ów celny strzał, który ośmieszyć

miał nie tylko okropny styl, jakim owe powieści były pisane, ale również i ową bruko-wo-buduarowo-pałacową tematykę”.

Gdy Magdalena Samozwaniec pisała te słowa, był rok 1954, *Trędowata* żyła jeszcze legendą, krążyła w odpisach i starych wydaniach. W wiele lat później zaczął drukować ją Kurier Polski, a w 1972 roku wydało Wydawnictwo Literackie. Książka rozeszła się błyskawicznie, lecz sława przygasła. Wydobyć tego romansu z czytelniczych suterren pozwoliło rzecz wreszcie ocenić, skonfrontować prawdę z mitem. I pozwala docenić literacki żart parodystki.

Chociaż... różnie z tym bywa. W dyskusjach i rozbiorach „krytycznych”, jakie zdarzały się ostatnimi czasy, zwłaszcza po filmowej premierze, zaczęto nagle, ni stąd, ni zowąd, doszukiwać się społecznych wartości *Trędowatej*. Paradoks naszych czasów... Kiedyś, mówiąc o Samozwaniec, przypominano Mniszkównę, dziś, mówiąc o Mniszkównie, zapominano jakoś o Samozwaniec, o społecznych wartościach jej satyry.

A na konferencji prasowej z aktorami i reżyserem ktoś się rozpędził... jak lokomotywa dziejów: — „*Trędowata* ukazuje walkę klas i niesprawiedliwość społeczną!” Mniszkówna jako teoretyk marksizmu? No, tego nie wymyśliłaby nawet Magdalena

Samozwaniec... którą ten mniszkowy agitator uważałby zapewne (gdyby o niej usłyszał) za precedenkę do carskiego tronu.

Można i tak... Tylko, jeśli nawet resocjalizuje się grafomanię treści, to co zrobić z grafomanią stylu?

A gdyby tak ongi trafił się jakiś dobry redaktor i powieść Mniszkówny poprawił i spolszczył, to czy nie...? Nie, druga *Lalka* by z tego nie wyszła, *Trędowata* utraciłaby swoją bezkonkurencyjną a wdzięczną mimo wszystko durnotę.

„Był to Waldemar Michorowski. Jechał na pysznym, czarnym jak lawa wierzchowcu. Ładnie wyglądało na nim zamśzowe siodło, żółty czaprak i uzdeczka”.

„Pierś margrabiny falowała gorączkowo, po ciele jej przelatywały płomienie. Gibkim ruchem odwróciła do ordynata głowę i biust i świecąc zębami, śmiała się ciągle. Oczy jej ciskały kolące ognie”.

„Michorowskiemu zmysły wypełzły na usta. Oczy mrużyły się satyrycznie, ale nozdrza zaczęły wachlować prędkim tempem”.

Zaiste, przepyszenie musiał wyglądać ordynat w zamśzowym siodle, żółtym czapraku i uzdeczce. A cóż dopiero ze zmysłami na uściech... I tak, albo i lepiej, bez końca...

I pomyśleć, że są jeszcze ludzie, którzy z całą powagą upajają się tym „wytwornym” bełkotem nie widząc w nim nic śmiesznego.

Jest w tej książce jeszcze jedna parodia, jakby posłowie samej Magdaleny Samozwaniec — Pierwszej Damy Polskiej Satyry. Lecz czytając *Kręgowatą* (tylko po lekturze *Na ustach grzechu*) pamiętać należy, że wspomniana tam współczesność to lata pięćdziesiąte naszego wieku. Bo teraz — jest „pysznie”, a na palcach błyszczą „rodowe” sygnety.

Reasumując: *Trędowatej* nie można odmawiać wartości — to kuriozum jedyne i niepowtarzalne, w stylistyce, w bogactwie andronów. To mimowolna autoparodia Mniszkówny. Tym wspanialszy jest kunszt literacki Samozwaniec, tym trudniejsze było stworzenie tak zabawnego i błyskotliwego pastiszu, gdzie każdy absurd ma sens. Bo pur-nonsens od bzdury odcina granica finezyjnego dowcipu.

Gracjana Miller-Zielińska